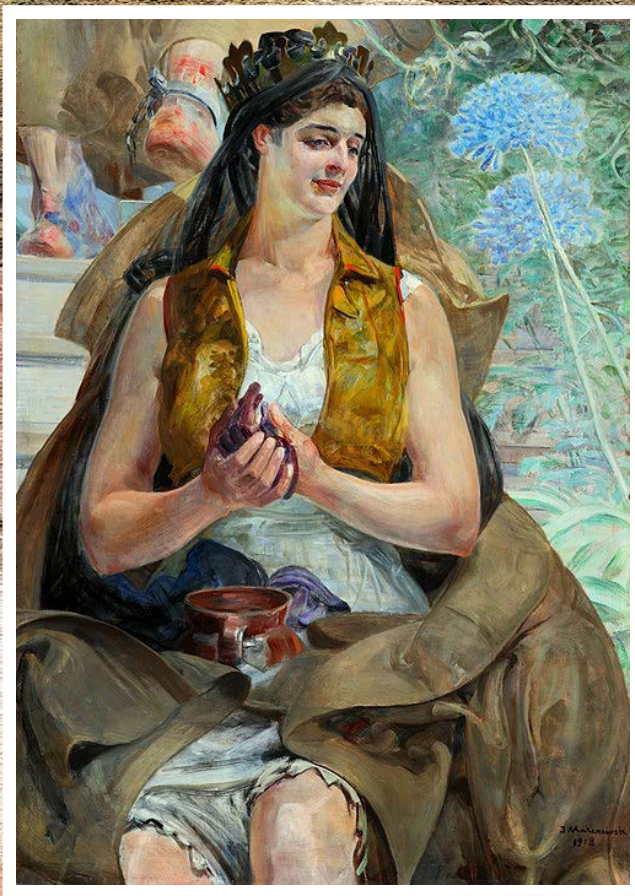


ISSN 1507-4781 * ROK XXIX * WIOSNA (IV, V, VI 2026 * nr 108

FORUM 108

MYŚLI WOLNEJ

krakowski magazyn racjonalistów



Jacek Malczewski
Polonia (1914)

W numerze m.in.:

- **Tadeusz Boy-Żeleński**, *Literaturoznawca*
- **Jan Hartman**, *Czym jest dzisiaj bioetyka?*
- **Bogumił M. Woźniakowski**, *Jan Józef Lipski (1926–1991)*
- **Jaroslav Hašek**, *Szwajk jedzie z kapłanem odprawić mszę polową*
- **Felietony**



1 OD REDAKCJI

- IGNACY S. FIUT – POŻEGNANIE

TEMATY SPRZED LAT

- 3 Piotr Augustynek: BOY – LITERATUROZNAWCA
Tadeusz Boy-Żeleński – DEMOKRATYZM KOMEDII
MOLIERA • ELEMENT SATYRY GŁĘBIA •
POWINOWACTWO Z DRAMATEM

MYŚLAĆ BELFREM

- 8 Piotr Augustynek: KOCIOKWIK

UŻYWAJMY ROZUMU

- 9 POZNAJMY SIĘ – Szymon Wróbel:
JAN Z CZARNOLASU ALBO SOLILOKWIA NA CZAS
POSTMODERNIZMU
- 16 Jan Hartman: CZYM JEST DZISIAJ BIOETYKA?
- 25 DYSKURS Józef Kabaj: JAK TO WŁAŚCIWIE JEST
Z NIEBYTEM?

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

- 27 Bogumił M. Woźniakowski: JAN JÓZEF LIPSKI
(1926–1991)

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 34 Danuta Stolarek: АЛЖИП

Z KSIĘGARSKIEJ WITRYNY

- 47 Krzysztof Woźniakowski: Międzywojenna lewica literacka.
Studia i szkice (Omówienie)

LITERATURA

- 48 Jaroslav Hašek: Szwejk jedzie z kapelanem odprawić
mszę polową

FELIETONY

- 51 Janusz Czuryżkiewicz: KRÓTKI TRAKTAT
„O NAPRAWIE RZECZYPOSPOLITEJ”
- 54 Adam Jaśkow: PRZEPRASZAM, ŻE PISZĘ
- 56 Babcia: SZACHY
- 57 Marchoń: WOJENKO, WOJENKO, CÓŻEŚ TY ZA PANI...

Z PORTALI INTERNETOWYCH

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady
mgr Magdalena Mrugała
– sekretarz Rady

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Jan Hartman,
prof. dr hab. Wojciech Kajtoch,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Mieczysław Jakubiec, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

OD REDAKCJI

Roman Kurkiewicz w swoim felietonie (Przegląd nr 1364) napisał: **Wojna rodzi się z zagłady słów, potem giną ludzie.** W tej krótkiej frazie mamy zawarte wszystko to, co możemy przeczytać w opasłych analizach, w wypowiedziach filozofów, słowem wszędzie tam, gdzie spodziewamy się refleksji ludzi myślących.

Ktoś może się zastanawiać, czy korelacja wojny z językiem nie jest nadużyciem intelektualnym. Otóż nie. Jakże często obserwujemy sekwencję wydarzeń od zjawisk językowych (zaostrenie retoryki, napastliwe wypowiedzi, groźby) po działania przemocowe (np. tragedie rodzinne, konflikty wewnątrz społeczności szkolnych, ustawki kibolskie). Wtedy już słowo przestaje być narzędziem komunikacji. Zaczyna być bronią. Groźną, bo niemal nieprzewidywalną w swej skuteczności. Jakże łatwo bagatelizujemy hejterskie popisy w mediach społecznościowych, idiotyczne – najczęściej upaprane w sosie religijno-patriotycznym wypowiedzi tzw. polityków. Jakże często nie wiemy, że słowo raz użyte w złym kontekście i złym zamiarze staje się niebezpieczne.

Król Władysław Jagiełło zwykł mawiać: „Słowo z gęby skowronkiem wyleci, a powraca wołem”. Nic dodać, nic ująć. Często zapominamy o tym kto mówi, co mówi i do kogo mówi. Pamiętamy wypowiedź jednego z posłów (niech imię jego będzie zapomniane), skierowaną do oponenta: „będziesz waść wisiał”. Wszyscy mogli to usłyszeć śledząc obrady plenarne Sejmu Najjaśniejszej RP. I co? Ano, nic. Niektórzy wzruszyli ramionami, bagatelizując wygłup pana posła, niektórzy stwierdzili, że „on już tak ma”, a inni po prostu uznali, że nic się nie stało. Otóż stało się. Zostało bowiem ogłoszone zaproszenie do powieszenia kogoś, nieważne kim jest.

Ludzie przywykli do bagatelizowania języka jako bytu z niemałą mocą sprawczą. A przecież to chyba najdonioślejszy twór cywilizacji homo sapiens. Tymczasem zamiast łączyć – dzieli. Zamiast wyjaśniać i tłumaczyć, pogłębia spory i różnice. Język jest jak nóż. Można nim ukroić chleb, by nakarmić głodnych. Można też zabić.

Redakcja

ODSZEDŁ OD NAS

Prof. dr hab. IGNACY FIUT

**Profesor filozofii w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie,
w Katedrze Kulturoznawstwa i Filozofii na Wydziale
Humanistycznym tej uczelni. Był nie tylko nauczycielem
akademickim, ale także poetą i krytykiem literackim.**

Wydał jedenaście tomików poezji i wiele prac z dziedziny filozofii. Członek Związku Literatów Polskich oraz Stowarzyszenia Twórczego Literacko-Artystycznego w Krakowie. Jego artykuły były zamieszczane na naszych łamach. Postanowiliśmy przypomnieć wiersz Profesora.

tylko nie czytaj tego nikomu

*wiersze krążą
nad naszymi głowami
satelity naszych emocji
i przeżyć
poeci sądzą
że zapisują
te wiersze
i z wysiłkiem
przenoszą je
na papier
jednak to wiersze
piszą poetów
a oni o tym
wiedzą i szeptem
powtarzają:
- tylko nie czytaj tego
nikomu!*

Z tomu „Tylko nie czytaj tego nikomu”
Wydawnictwo Aureus
Kraków 2020



BOY – LITERATUROZNAWCA

Oddajemy do ręki czytelnikowi tekst naszego Patrona, świadczący o powadze, z jaką traktował swoją pracę na niwie słowa. Znamy już jego bezkompromisowe poglądy na temat piekła kobiet, jaki zgotował im system polityczny, wsparty patriarchalną tradycją, dominującą rola Kościoła itd.

Tym razem Boy zaproponował nam rozświetlenie roli komedii jako gatunku teatralnego, i to nie w byle jakim wykonaniu, a samego Jeana Babtisty Poquelina, czyli Moliera.

Tadeusz Boy-Żeleński chce w swym tekście wyjść poza podręcznikowo-szkolną wiedzę o „tapicerze i pokojowcu Jego Królewskiej Mości”. Stara się nakłonić odbiorcę do rozpoznania rzeczywistego tła społecznego jego komedii. Wskazuje na coś, co moglibyśmy nazwać psychologizmem poszczególnych bohaterów scenicznych. Wskazuje na „coś więcej”, niż spodziewalibyśmy się po komedii. Proponuję zwrócić uwagę na łagodność (jednak) oceny postaci przez jego twórcę. Tu nie znajdziemy pogody ani agresji. Jest jednak dogłębna analiza zachowań. Nie nienawistna. Dogłębna.*

Piotr Augustynek

DEMOKRATYZM KOMEDII MOLIERA • ELEMENT SATYRY GŁĘBIA • POWINOWACTWO Z DRAMATEM

I ton się zmienia. Komedya włoska i hiszpańska, jak również wyrosła z niej francuska, jest na wskroś arystokratyczna; Molier d e m o k r a t y z u j e ją stopniowo. Człowiek z gminu przestaje być ową wyłącznie pocieszającą figurą drżącą wciąż przed kijem. Zdrowy rozum coraz częściej będzie przemawiał ustami ludu. Zauważmy, jak owe postacie, które Molier przynosi do swej komedii z włoszczyzny, Maskaryl, Skapen, Zbrygani, Neryna, Frozyna, różnią się od tych, które urodziły się z jego własnej głowy. Szelmstwo tych

importowanych Włochów ma w sobie rysy oschłości, okrucieństwa: cóż za różnica z dobroduszną jowialnością i ludzkim akcentem Kacperka, Doryny, Michasi, Marcyny... Znać, że zrodziły się z samorodnej weny owego Moliera, który jak przekazuje tradycja, każdą sztukę przed oddaniem na scenę czytał swojej kucharce. I jeszcze jedno. Zadaniem komedii przedmolierowskiej jest bawić; bawić mniej lub więcej wybrednie, ale zawsze tylko bawić. Molier, jak widzieliśmy, sprawił, iż nie prze-

*Należy przypomnieć, że to właśnie Molier stał się prekursorem nowożytnej komedii charakterów.



Molier

stając bawić, komedia stanie się głębokim studium duszy ludzkiej, malowidłem obyczajów. Ale to jeszcze nie wszystko. Molier ukaże w niej nową potęgę, jedną z największych, jakie istnieją, mianowicie z a b i j a ć ś m i e c h e m, i to śmiechem brzmiałym ze sceny.

Tajemnicę tę znał niegdyś Arystofanes, ale dla nowoczesnego teatru odkrył ją Molier. Molier wchodzi na tę drogę bardzo wcześnie: *Pocieszne wykwinisie*, którymi zaczyna swoją autorską karierę w Paryżu, rozległy się niby świst bicia nad uszami błazneków dworskich, a zarazem nad uszami koteryj i miernot literackich, i wszystkich tych, którzy silili się pełnię i swobodę życia wtłoczyć w sferę sztucznych pojęć o duchowym wykwincie. Dydaktyzm – nie w znaczeniu oschłym i ciasnym, ale w najbardziej ludzkim pojęciu twórcy, który sztukę swą czyni narzędziem wyrażania swych myśli, pojęć – ten

dydaktyzm towarzyszy całej działalności Moliera, a w najkrótszej drodze wiedzie od *Pociesznych wykwinis* przez *Szkolę żon* do *Świętoszka*. Psychologia jest tedy u Moliera w służbie satyry; jak znowuż satyra jest wyrażeniem jego ideału życia. To też chwilami komedia jego staje się trybuną, mównicą. Dyskutuje się w niej wszystko; czasem żartobliwie, czasem poważnie, namiętnie; nigdy oschle i nigdy nudno. Wy chowanie dzieci, stosunki rodzinne, kwestie literackie, naukowe; nawet tak drażliwe przed mioty, jak sprawy religii lub kwestie urodzenia i szlachectwa. I to jest z pewnością w zdobyczy Moliera krok nie najmniej zasadniczy i nie najmniej śmiały. W ten oto sposób Molier staje się twórcą nowożytnego teatru. Ze zjawieniem się Moliera komedia włożyła jakby siedmiomilowe buty, aby przebyć drogę od grubych zaczątków aż do najwyższej dojrzałości. W r. 1658 Molier debiutuje na dwo-

rze jakąś zawieszistą farsą własne go pióra; w r. 1659 daje *Wykwintnisie*, w r. 1662 *Szkołę żon*, w r. 1664 *Świętoszka*: i oto w ciągu lat pięciu od farsy bliskiej jeszcze średniowiecza, tkwiącej jeszcze w atmosferze kuglarzy jarmarcznych, doszliśmy do szczytu, którego nie tylko do dziś komedia nie przewyższyła, ale który może na zawsze pozostanie jej niedościgłym wzorem, Molier zwabił publiczność śmiechem, a skoro raz ją zdobył, zaczął iść coraz dalej, coraz śmielej, wiodąc za sobą słucha czy: aż wreszcie, znalazłszy się wraz z nim na szczycie, jedni okrzyknęli się z zachwytem, drudzy ze zgrozy i oburzenia. Mimo jednak wszystkich gromów, jakie rzucali nań wrogowie, jedno jest faktem: Molier nieskończenie podniósł w g o d n o ś c i komedię i rzemiosło komediopisarza. Pomogła mu w tym sympatia i poparcie króla, zapewne. Ale, powtarzam, faktem jest, iż przepaść, jaka istniała przed nim między komedią a tragedią, znikła; ogół zaczyna rozumieć, że są to dwie formy ujęcia życia, z których żadna nie ustępuje drugiej, a nawet prawda komiczna może być czymś o wiele trudniejszym niż koturn tragiczny. O ile bowiem tragizm może być fałszywy, o tyle komizm musi być szczery. Jeżeli mamy sądzić z dzisiejszej epoki, pojęcia te zwyciężyły – we Francji przynajmniej – zupełnie; komedia opanowała teatr, stała się narzędziem, za po mocą którego autor może uczyć, bawić, wzruszać; tragedia stała się przeżytkiem. Molier był w tym – jak w tylu innych rzeczach! – na wskroś nowożytnym człowiekiem; wyprzedzał o wiele swoją epokę. Bo też i w samym swoim dziele Molier zaciera niejednokrotnie granicę między komizmem a powagą życia. Wesołość była żywiołem tego geniusza komedii; że jednak w drodze do niej była mu busolą p r a w d a, Molier raz po raz dochodzi do punktu, w którym spoza komicznej maski życie ukazuje mu swoje poważne, smutne, tragiczne nawet oblicze. Aby oddać to ży-

cie tak, jak on je pojmował, nie mogły mu wystarczyć współczesne formy teatru. Teatr ten skupiał się na dwóch krańcach: z jednej strony wspaniała heroizm Corneille'owskiej tragedii, z drugiej dość powierzchowny komizm ówczesnej komedii będącej, jak wspomniałem, niby teatrem marionetek o tradycyjnych fizjognomiach i gestach. Między tymi dwoma biegunami było miejsce na całą prawdziwą „komedię ludzką” – i Molier miejsce to zapełni. To też Molier jest ojcem nie tylko nowoczesnej komedii. Analiza namiętności poruszających nie, jak w tragedii, historycznymi nadludźmi, ale zwykłymi ludźmi w zwykłym środowisku codziennego życia, toż to nie co innego, jak tylko przedmiot dzisiejszego d r a m a t u. I w istocie, *Świętoszek*, *Don Juan*, *Mizantrop* – te komedie Moliera zawierają w sobie zarazem całą istotę dramatu. Jak bardzo Molier wyprzedził w tym swoją epokę, dowodzi fakt, iż przez bardzo długi czas nikt nie zdołał podjąć i prowadzić tej linii jego twórczości. Wiek XVIII zrozumiał potrzebę dramatu mieszczańskiego⁴ i zbudował jego teorię (Diderot); ale nie miał talentów, zdolnych poprzeć tę teorię czynem, i porzucił na tzw. „łzawej komedii” (*comédie larmoyante*). Dopiero kiedy na niwie powieści Balzak utrwalił genialnymi rysami całe tragikomiczne widowisko powszedniego życia, teatr XIX w. dzięki jego pośrednictwu nawiązał nić ze wskazaniem Moliera. W tragedii XVII w. namiętności ludzkie ujęte były w sposób sprzyjający temu, aby wedle słynnej formuły budzić w nas współczucie i grozę. Do tego celu służyły wielkość i odległość przedmiotu; w tym celu poeta starannie oczyszczał swoim bohaterom grunt, iżby w pogoni za wielkością nie potknęli się o nic małego. Wrażenie natomiast, jakie też same namiętności będą na nas wywierać w ramach codziennego życia, jest bardziej skomplikowane. Niestosunek między napięciem duchowym osoby owładniętej namiętno-



Fragment spektaklu „Skąpiec” w wykonaniu aktorów Teatru Polskiego w Bielsku-Białej

ścią a nikością przedmiotu, który oglądamy trzeźwym okiem, może sprawić wrażenie komiczne; z drugiej strony właśnie wskutek tego niestosunku widok ten może działać niesamowicie, jak widok obłąkanego. *Har pagon*, pan Jourdain... Człowiek opanowany namiętnością może działać na nas tragicznie, skoro widzimy w nim obraz bezwolnej ofiary miażdżonej jakąś potężną niewidzialną siłą; z drugiej strony komicznie, jako pewne zautomatyzowanie ludzkiej istoty: skomplikowana gra uczuć ludzkich zmienia się tu – jak u pajaca, służącego za zabawkę dzieciom – w prosty system nitek, które jak gdyby poruszane niewidzialną ręką, wykonują wciąż te same gesty. Przy tym codzienne, potoczne życie, sama jego „technika” sprawia, iż wielkość potraça w nim co chwila o małość, tragizm ociera się o komizm, konieczność mocuje się z przypadkowością.

„Przedstawiać ludzi średniego stanu doświadczonego przez los, w nieszczęściu – woła ironicznie w przedmowie do *Cyrulika* Beaumarchais – pfe! Cóż znowu! Obywatele śmieszni, a królowie nieszczęśliwi, oto jedyny istniejący i możebny teatr...” Od woli poety zależy to dawkowanie nastrojów komicznych, dramatycznych, tragicznych, mieszanie ich ze sobą, kombinowanie; nowa formuła teatru stworzona przez Moliere otworzyła twórczości scenicznej niezmierzone horyzonty. Niegdyś w starym wspaniałym średniowiecznym teatrze sceny tragiczne i komiczne mieszały się naiwnie; później następuje zróżniczkowanie rodzajów; tragedia ze swym dystygowanym koturnem odcina się ostrą linią od komedii. Moliere znów zaciera tę granicę; ale czyni to odmiennie, płynnie to nie z naiwności, ale, wręcz przeciwnie, z głębokiego spojrzenia w życie. Nie w kalejdoskopie

scen, ale w jednej i tej samej osobie komicizm luzuje się u niego tragizmem. Komiczny Arnolf (*Szkola żon*) wyraża w pewnym momencie męczarnię bezsilnej namiętności. Alcest (*Mizantrop*) – czujemy to – zdolny jest być bohaterem, a bywa uparciuchem i dudkiem. Najlepiej ujawnia się to może w *Skapcu*. Kiedy Harpagon czuje się w obowiązku wyprawić kolację, cierpi zaś męki przy każdym groszu wydatku, wówczas jest jeszcze szczerze komiczny. Kiedy w tym samym pokoju oko w oko spotykają się niespodzianie ojciec-sknera i syn-utrącajusz i poznają w sobie wzajem – ten naiwnego klienta, ów przeklinane go przed chwilą lichwiarza – moment jest wysoce dramatyczny. Kiedy Harpagon po utracie szkatułki wpada na scenę z krwią nabiegłymi oczami i wyje niemal z bólu jak matka, której wydarto młode, wówczas mógłby na nas działać wręcz tragicznie. I dopieroż widzimy Moliera przy robocie: możemy śledzić jego nieustanną czujność, z jaką strzeże, aby sztuka nie wypadła z tonu; nieomylny takt, z jakim ukazawszy nam w perspektywie wszystkie możliwości dramatyczne lub tragiczne, natychmiast zręczną zmianą perspektywy sprowadza nas z powrotem do komicznego punktu widzenia. Z tego stosunku Moliera do jego tematu wynikają owe tak błahe „rozwiązania” sztuk Molierowskich. W dawnej komedii, której akcja była pasmem nieprawdopodobnych zawikłań, rzecz prosta, że i rozwiązanie musiało być kwintesencją tych cudowności. Molier w wielu sztukach zachowuje ten system, okazując bardzo daleko posuniętą beztroskę o rozwiązanie komedii. Jest to dość naturalne: jeżeli Molier mało dbał o intrygę, uważając ją jedynie za kanwę, na której dziergał ściegami humoru swoje głębokie studia charakterów, cóż dziwnego, że jeszcze mniej dbał o rozplatanie tej obojętnej mu intrygi, której ani on sam nie brał na

serio, ani nie żądał tego od publiczności. Ale można by iść dalej i powiedzieć, dla niektórych sztuk przynajmniej, że rozwiązanie nie mogło być inne niż sztuczne, jeżeli ma z uśmiechem na ustach rozplatać węzły zadzierzgnięte przez nieubłagane konflikty charakterów. Jak mogło być inaczej, skoro w wielu utworach Molier wciska treść dramatu w ramy komedii? W tym świetle w zakończeniach owych można by się dopatrzeć głęboko ironicznego i pesymistycznego znaczenia. W rzeczywistości nic w *Szkole żon* nie wyrwie Anusi ze szponów Arnolfa; nic nie ocali w *Świętoszku* Orgona od katastrofy spowodowanej jego łatwowiernością. W *Skapcu* młody Kleant skończy gdzieś w domu poprawy lub jeszcze gorzej; Eliza ulotni się ze swym obieżyświatem, który ją unieszczęśliwi i porzuci; Harpagon zaślubi może Mariannę, która będzie niecierpliwie liczyć jego dni... Ale Molier nie chce nas zasmucać; smutek, zrodzony gorzką wiedzą życia, chowa dla siebie; jeżeli zdradzi go czasem, to mimo woli. Dlatego pokazuje nam rąbek rzeczy tak, jak się dzieją, odsłania w paru genialnych błyskach perspektywy utajonych w nas możliwości, po czym spuszcza zasłonę mówiąc: „Nie smućcie się! bajeczka kończy się dobrze...” Dwa razy daje Molier swym komediom rozwiązanie wolne od wszelkiej sztucznej ingerencji: i jakież to rozwiązanie? Oto ono: Grzegorz Dyndała oświadcza, że nic mu nie pozostało, jak rzucić się na łeb do wody, a Alcest w *Mizantropie* opuszcza świat, aby się schronić na pustynię... Oto naturalne rozwiązanie tych komedii... □

T A D E U S Z Ż E L E Ń S K I
(B O Y) M O L I E R
Tower Press 2000 Copyright by Tower
Press, Gdańsk 2000

KOCIOKWIK

Już nie mam siły i cierpliwości obserwować tego, co z systemem edukacji wyprawiają władze tegoż resortu.

Postępowanie p. Barbary Nowackiej i licznej grupy Jej współpracowników może zaiste sprawić w ból głowy, o poczuciu zagubienia i bezsensu nie mówiąc.

Dlaczego? Konia z rzędem temu, kto potrafi w miarę sprawnie poruszać się pośród wciąż nowych idei i pomysłów, inicjatyw programowych itd.

Onegdaj próbowałem rozeznaczyć się w tym bałaganie. Tak, bałaganie, bo wreszcie pora nazwać rzecz całą po imieniu. I co wyszło z tych moich prób? Wyszło mi, że dominującą cechą wszystkich pomysłów jest całkowity brak spójności, brak konsekwencji w realizacji, wycofywanie się z podjętych inicjatyw, a co najważniejsze: nieliczenie się z opinią nauczycieli. Niech mi nikt nie próbuje wmawiać, że oto prowadzone są jakiegokolwiek konsultacje środowiskowe. Tak nie jest. Mamy jedynie do czynienia z pokazowymi zebrańiami, na których przedstawiciele władz centralnych systemu edukacji przemawiają do zgromadzonych dyrektorów (nie wszystkich), kuratorów i innych oderwanych od rzeczywistości oświatowych osób. A niech mi kto pokaże wiejską szkołę (nie renomowaną, zwyczajną), w której szefostwo resortu spotyka się z nauczycielami i rodzicami, by wysłuchać gorzkich opinii. Chyba, że takie spotkania odbywają się w atmosferze ścisłej tajności...



Nurtuje mnie natrętne pytanie o to, czy władcy edukacji mają poczucie rzeczywistości, a co za tym idzie, wiedzą, czym zarządzają. Dlaczego tak myślę? Oto kilka przykładów działań nieprzygotowanych, niesadzonych w kontekście społecznym, niedopracowanych do końca:

- lekcje religii w szkołach,
- edukacja zdrowotna,
- zakaz używania telefonów komórkowych w szkołach,
- ograniczenie dostępu do portali społecznościowych dla dzieci i młodzieży,
- zmiany w treściach programów, mające usprawnić system i zmienić cele edukacyjne,
- reforma całego systemu edukacji, by stał się odpowiedzią na wymogi stawiane przez współczesny świat.

Do tego należało by dodać jak zwykle kulejące zasady wynagradzania kadry pedagogicznej, aby koszty edukacji przestały być trudnym do zniesienia balastem dla samorządów wszystkich szczebli. Warto przypomnieć, że nakłady na edukację to nie wydatki, a rentowna inwestycja.

Żuż mi się nawet nie chce wspominać zmurszałego systemu kształcenia i zatrudniania młodych belfrów. Zamiast konkretnej, jasnej odpowiedzi otrzymałbym zapewne kolejny, uroczy uśmiech Pani Minister Nowackiej. No cóż, gdyby spróbowano rozwiązać (choćby pomału i sensownie) powyższe problemy, uśmiech mógłby zostać. □

Żuż mi się nawet nie chce wspominać zmurszałego systemu kształcenia i zatrudniania młodych belfrów. Zamiast konkretnej, jasnej odpowiedzi otrzymałbym zapewne kolejny, uroczy uśmiech Pani Minister Nowackiej. No cóż, gdyby spróbowano rozwiązać (choćby pomału i sensownie) powyższe problemy, uśmiech mógłby zostać. □

Piotr Augustynek

POZNAJMY SIĘ

Od niedawna zamieszczamy komentarze i inne wypowiedzi Jana Hartmana, profesora wykładającego filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim (w tym bioetykę w Collegium Medicum UJ) i uprawiającego publicystykę dla wielu kontrowersyjną, a nawet obrazoburczą. Jako głosiciele myśli wolnej, „wolność ubezpieczającej”, pokusiliśmy się o zaproszenie Profesora do współpracy na jakże Mu bliskiej niwie, której poświęcamy gros naszych łamów, tj. krzewienia świeckich idei oraz ideałów w naszym Kraju, który Konstytucja 3 Maja uczyniła lennikiem Watykanu. Za zgodą Profesora cytujemy więc niektóre Jego myśli, zwłaszcza te krytyczne wobec klerykalno-religijnej hegemonii, jaka u nas ciągle panuje w sferze ideowej.

W tym miejscu przytaczamy fragmenty dostępnej w Sieci publikacji Szymona Wróbla (*Jan z Czarnolasu albo solilokwia na czas postmodernizmu*), w której prezentuje On sylwetkę tego wybitnego uczonego i publicysty. Pomijamy tu urywki panegiryczne, koncentrując się w przytoczeniach na Jego – w miarę rzeczowej – charakterystyce myśli filozoficznej oraz twórczości publicystycznej prof. Hartmana, którego osobowość chcemy przybliżyć naszym Czytelnikom.

Redakcja FMW

SZYMON WRÓBEL

JAN Z CZARNOLASU ALBO SOLILOKWIA NA CZAS POSTMODERNIZMU

Wszystkie sądy Hartmana na temat filozofii zawieszono są pomiędzy skrajnym potępieniem przedsięwzięcia filozoficznego a skrajną jego gloryfikacją. Hartman w jednej i tej samej chwili jest zafascynowany i podniecony filozofią, jak i przez nią przygnieciony i wrzucony w pogłębiającą się depresję. Jest podniecony tym, że filozofia daje mu możliwość wypowiedzenia wszystkiego, ale jest też nią zrozpaczony, gdy w akcie mówienia doznaje, że owe kłębownisko możliwości jest nie-do-zrealizowania, że My-Mówiący doświadczamy stale bolesnej świadomości tego, że nie mamy

nic ciekawego do powiedzenia, że nasza mowa jest po nic.

Hartman pisze: „Faktem jest, że filozofowie podzielają z dziećmi i dziwakami skłonność do myślenia, że być może «wszystko jest w ogóle odwrotnie niż się wydaje» oraz zadawania pytań, na które nie ma jasnych odpowiedzi”. Filozof usytuowany jest w horyzoncie istnienia gdzieś między dzieckiem a szaleńcem. W świecie współczesnym filozofowi przyszło odgrywać rolę dziwaka, postępującego się jakąś formą myślenia infantylnego. Z drugiej jednak strony Hartman pisze także, że „po-

ważna filozofia musi być nie tylko teorią swego przedmiotu – świata, doświadczenia ludzkiego i poznania – lecz również teorią samej siebie, nauką o podstawach i zakresie własnej prawomocności, o konstytutywnych źródłach swych własnych określeń, o istocie samej poznawczości, teoretyczności i filozoficzności”. To świadczyłoby z kolei, że tylko filozof jest zdolny do uzyskania najbardziej subtelnych form samoświadomości. W rezultacie, Filozof to ktoś, kto bez reszty i do końca musi wiedzieć, „dlaczego mówi to, co mówi i skąd wypływa słuszność jego wypowiedzi, a także, co jej ważność ogranicza”. Hartman formułuje w końcu podejrzenie, które w pewnym sensie rozładowuje konflikt pomiędzy jego zaangażowaniem w filozofię i metafizycznym sceptycyzmem wobec tego zaangażowania: autonomia, którą, my filozofowie, się szczycimy, pozostaje nieodróżnialna od alienacji, której ulegamy. Pozostaje pytanie: autonomia dla kogo i przez kogo oszacowana? Oraz alienacja, wobec czego i jak silnie w umyśle uwewnętrzniona?

Niewątpliwie Hartman stał się człowiekiem *przez* filozofię. Przez filozofię przestał być również człowiekiem, a stał się filozofem. Co oznacza, że dla Hartmana droga od człowieka potencjalnego do człowieka zamieszkującego biegnie przez człowieka myślącego, ale też droga od człowieka zamieszkującego do człowieka szalonego biegnie przez człowieka myślącego. Jeśli ktoś z nas zasłużył na miano Filozofa to jest to właśnie Hartman. Nigdy nie widziałem kogoś bardziej przesiąkniętego filozofią niż właśnie on. Być może jedynie Cezary Wodziński mógłby tu być dla niego rywalem. Stąd pytanie zupełnie rozstrzygające, czy wiemy, czym jest filozofia dla Hartmana? Lub lepiej: kim jest filozof w Hartmanowskim ujęciu?

Hartman pisze: „Filozof [...] z własnej nieprzymuszonej woli postanowił żyć w państwie wyznaniowym, ze wszystkimi konsekwencjami [...], jakie niesie przy-

jęcie w tym państwie roli opozycjonisty”. Filozof, z tego punktu widzenia, jest równocześnie figurą głęboko religijną, ale i w tym samym czasie antyreligijną. Filozof porusza się ruchem konika szachowego, ruchem podwójnym – fundującym pewną myśl, ale też, w tej samej posunięciu, zacierający tą myśl. Jego religijność jest faktem dokonany, wynikającym z użycia słownika, który przesiąknięty jest, a nawet jest fundowany przez Absolut, który niekoniecznie musi być Bogiem osobowym, ale który równie dobrze może być Totalnością Bytu, Czystym Pojęciem, Autonomią etc. Filozof jednak jest równocześnie figurą głęboko antyreligijną, albowiem z definicji uprawia on herezje, rozpętuje siły chaosu, nawiedza świat duchem anarchii, eksperymentu, wytyczania nowych granic.

Być może jednak dla Hartmana stawką w grze wcale nie jest filozofia ani nawet jego własna tożsamość Filozofa, ale coś znacznie bardziej nieujarzmionego – żywioł myślenia. Hartman pisze o Rozumie w bardzo przejmujący i bliski mi sposób:

„Rozum żyje myśleniem. Myślenie jest jego substancją, w której się urzeczywistnia, staje się sobą. Staje się sobą jako świadomość, a więc jako samoposiadanie siebie w refleksji. To postępujące urzeczywistnienie i samoposiadanie nazywa się – jako proces, jako życie rozumu – myśleniem, jako rezultat zaś nazywa się nauką, a ściślej filozofią. Tak posługujemy się tą nazwą: filozofia to określenie myślenia jako takiego, myślenia czystego, w którym rozum spełnia swą istotę”.

Nic to, że Hartman cytuje tu w dużej części Hegla, nic to, że w tej wypowiedzi króluje jakiś rozszalały Duch z Lasu, który zmierza do samozagłady w akcie kompletnego samopoznania, nic to, że taki Duch jest zaledwie i tylko duchem utopii. Gdybym miał powiedzieć najkrócej, dlaczego przyjaźnię się z Hartmanem, to powiedziałbym: bo jest to człowiek, dla którego rozum jest myśleniem, a myślenie jest ży-

ciem, poza którym nie ma innego życia. Tu też docieramy wreszcie do jedynej przekonującej deskrypcji Filozofa jako pustego miejsca emisji głosu, kogoś, kto ma dość odwagi i determinacji w sobie, aby wyrzec się swych własnych opinii, swego własnego zdania, swych własnych skłonności, „oddając swe siły umysłowe w służbie czystej spekulacji, czystego myślenia, w której dojrzewa kształt pojęcia, kształt prawdy”. Filozofia to laboratorium wybrzuszania się pojęć, Filozof to anonimowe miejsce wybrzuszania się tych myśli.

Stąd charakterystyka Hartmana-Filozofa winna być zbliżona do Schulzowskiej charakterystyki Ojca. Mówiąc Schulzem Hartman-Filozof w miarę jak od tere- nu swych ciałniejszych zainteresowań (bio- etyki) zbliża się do ogólnych zasad kosmo- gonii, „jego głos zniża się do wnikliwego szeptu, wykład staje się coraz trudniejszy i zawilszy, a wyniki, do których dochodzi, gubią się w coraz bardziej wątpliwych i ry- zykownych regionach”. Tak jak Schulzow- ski Ojciec, również Hartman-Filozof wy- wraca nasz świat do góry nogami dwa razy, a w rezultacie zostawia sprawy takimi, jak- kie były wcześniej. „Prawdziwy filozof – czytamy w tekście poświęconym Nietz- schemu – przede wszystkim zachowuje”. Zachowawczość zdradza jednak skłonności konserwatywne, a nie progresywne, te zaś kierują nas w stronę arystokratycznej oso- bowości Hartmana.

Arystokrata

Co ma zrobić na tym świecie arysto- krata, który ma pełną świadomość tego, że „mądrość oznacza dziś przymioty starca opowiadającego zajmujące historie z prze- szłości, cnota – integralność krocza jego wnuczki, a uogólnianie – bezczelność jego wnuka, narzucającego innym swoje zda- nie”? Co ma zrobić arystokrata na świe- cie, w którym nie ma żadnej prawdy (gdyż w przeciwnym razie ktoś nie miałby racji) i w którym nie ma żadnego fałszu (gdyż

w przeciwnym razie ktoś miałby rację)? Co ma robić na tym świecie człowiek, który niesie w sobie bezwzględny wymóg eks- perymentowania na sobie i jednocześnie silnie ugruntowane przekonanie, że zdol- ność do takich eksperymentów jest udziałem nielicznych? Co ma robić na tym świe- cie arystokratyczny Filozof (tym razem jest to pleonazm, a nie oksymoron), który do- staje listy od studentek pedagogiki opie- kuńczo-wychowawczej z prośbą o podjęcie się promocji ich potencjalnego magisterium z filozofii?

U Hartmana arystokratyczna jest za- równo epistemologia, jak i politologia. Wie- dza jest rzadka i raczej ekskluzywna. Masy po prostu błędzą i nie są zdolne ani do ra- cjonalnego wyboru, ani też do jakiegokol- wiek wglądu w prawdę. Władza jest jesz- cze bardziej efemeryczna i jeszcze bardziej wymagająca wobec ludzkich kompetencji. „Podstawa państwa liberalnego – powia- da Hartman w tekście *Ustrój liberalny jako rządy omylnych ekspertów* – powinna być poniekąd arystokratyczna, a w każdym ra- zie moralna, jakkolwiek pierwiastek mo- ralny ustroju i sposobu sprawowania wła- dzy wpływać powinien na powściąganie apodyktyczności rządzących elit”. Widać dla Hartmana, wyrażenie „arystokratycz- na władza” znaczy prawie tyle co „władza moralna”.

Hartman nazywa swoją koncepcję po- lityczną liberalizmem bezpośrednim, gdyż mówi się w tej optyce otwarcie, iż pań- stwo, jak każdy podmiot, zawsze dba naj- pierw o siebie, a potem dopiero o obywa- teli. Myśl polityczna musi się z tym pogo- dzić i szukać rozwiązań ustrojowych, któ- re egoizm państwa uczynią narzędziem ce- lów społecznych. Nie wydaje mi się jednak, aby był to rodzaj liberalizmu; osobiście taką koncepcję nazwałbym raczej arystokraty- zmem ograniczonym lub limitującym się. W końcu Hartman nie pisze tekstu zatytu- łowanego *O wadach arystokratyzmu*, ale w zamian pisze tekst – *O wadach demokra-*

cji, który oczywiście jest pochwałą demokracji, ale równocześnie krytyką źle zrealizowanej demokracji.

W tym jednak rzecz, że demokracja jest zawsze źle zrealizowanym ideałem, albowiem, jak sam Hartman pisze, „wartość demokracji leży w sferze idealnej”. Dla Hartmana demokracja to zaledwie praworządność oraz obecność pewnego ideału, który stoi za odnawiającymi się rytuałami politycznymi pokroju wyborów. Tylko arystokrata może pisać słowa pokroju: „wybujala demokracja doprowadziła do upolitycznienia chamstwa, czyli uczyniła z niego skuteczną siłę, akceptowaną i traktowaną poważnie nie tylko w tzw. polityce, czyli tajnych układach, ale i w otwartym demokratycznym życiu politycznym”. O ile mi wiadomo to chamstwo w dobie współczesnej nazywa się opinią publiczną, a jego upolitycznienie doprowadziło w prostej linii do czegoś, co dzisiaj nazywamy demokracją sondażową. Widać z tego, że Hartman nowoczesnością po prostu pogardza. Demokratyzacja, pauperyzacja, upolitycznienie chamstwa to procesy wzajemnie powiązane i stymulujące się. „Rozpraszenie władzy – pisze Hartman – a więc demokratyzacja w najogólniejszym znaczeniu słowa, jest być może najważniejszym procesem politycznym nowożytności”. Najważniejszym znaczy tu jednak najbardziej katastrofalnym!

Hartman porównując równość w społeczeństwach przedliberalnych z równością społeczeństw liberalnych zupełnie przytomnie odnotowuje, że ta pierwsza polegała na ścisłym przyporządkowaniu osób do swoich praw i obowiązków, ta druga zaś polega na tym, że nierówności pod względem tego, kto jakie ma prawa i obowiązki, jeśli są dopuszczalne, to tylko w szczególnych okolicznościach. Jak wiemy tych okoliczności może być jednak całkiem sporo; może to być: płeć, status społeczny, dochody, aktywność zawodowa, kolor skóry. W rezultacie, ponownie przytomnie pisze Hartman,

że współczesna demokracja nie jest w stanie uniknąć praktykowania dyskryminacji, co oznacza w rezultacie, że współczesna demokracja jest po prostu synonimem „dyskryminacyjnej równości”. Co z tego wynika? No cóż, wynika stąd, że grozi nam powrót figury chama, tyle, że chama demokratyczno-liberalnego. „Demokracja nie potrafi rozwiązać sprzeczności, jaka zachodzi pomiędzy «uspołecznionym egoizmem», który demokratyczna praworządność wspiera, a uspołecznieniem właściwym, polegającym na gotowości do kierowania się dobrem publicznym, «interesem» całego społeczeństwa”.

Hartman ma pełną świadomość tego, że tak jak wielkie instrumenty władzy, z państwem na czele, rozproszyły się w mnogich relacjach dominacji, tak też substancjalnie ograniczone figury podmiotowości rozpraszają się na naszych oczach w mnogości mikro-podmiotów. Hartman jest świadom społecznych kosztów procesu emancypacyjnego. „Emancypacja” to zresztą jedno z tych pojęć, którego Hartman nie cierpi i reaguje na nie alergicznie. Musi jednak, niezależnie od swej alergii, zaakceptować fakt, że procesowi wyzwolenia kolejnych grup społecznych towarzyszy erozja wartości przypisywanych kategorii „podmiotu”, którym się stają owe grupy po wyzwoleniu. Podmiot arystokratyczny, który wiąże swą treść z niesymetrycznymi relacjami ze światem, jest dziś figurą martwą. Żyjemy nie tylko w epoce post-politycznej, ale i w epoce post-podmiotowej. Maksyma Hegla o upodmiotowieniu mas jest punktem wyjścia nowoczesności. Dla mnie tragikomicznym. Dla Hartmana raczej tragicznym.

Mimo pełnej świadomości upadku arystokratycznej wizji podmiotowości i honoru, Hartmana kusi myśl, by za Nietzschem, udać się w stronę romantycznej, emotywniej etyki indywidualnego aktu moralnego. Z pewnością dyskurs Hartmana nie bardzo chce stać się częścią dyskursu umoralniającego, wie przecież, że tego rodzaju pi-

sarstwo jest zaledwie biernym i zastępczym sposobem życia, a więc aktywnością podszytą słabością. Hartmana kusi zatem sumienie arystokratyczne, odnoszące się do honoru, a odpowiedzialność wiążące z suwerennym postanowieniem. Hartman czuje, że owo sumienie arystokratyczne jest czymś znacznie bardziej godnym niż gryzące sumienie plebsu, które polega na uwe wnętrzeniu społecznej sankcji, na zadaniu sobie psychicznego cierpienia w zastępstwie zewnętrznej kary. Z drugiej jednak strony Hartman świadomy jest ograniczeń owego arystokratycznego sumienia, świadomy jest jego arbitralności i pogardy skrywającej się pod pozorami wzniosłości. Hartman wolałby kochać, w ogóle jest stworzony do miłości, niestety skazany jest na pogardę.

Hartman w wielu analizach bliższy jest Allanowi Bloomowi niż Bloomowi Haroldowi. Allan Bloom w swej szeroko dyskutowanej książce *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, wszczął nie zakończoną do dziś dyskusję na temat statusu nowoczesnego szkolnictwa. Bloom zakłada, że istnieje ścisła zależność łącząca edukację i demokrację. Związek ten jest na tyle silny, że za niepowodzenia amerykańskiej demokracji można winić uniwersytety odpowiedzialne za stworzenie odpowiedniego programu, chroniącego demokrację przed wulgarnością handlu. Bloom, krytykując edukację, zwraca nade wszystko uwagę na niezdolność uniwersytetów do sformułowania rozsądnego programu, w którym byłoby miejsce na szeroko rozumianą humanistykę, dziś wypieraną przez kursy o charakterze specjalistycznym. Uniwersytety coraz rzadziej pełnią rolę miejsca, w którym, tak jak w Ateńskiej Akademii i Liceum, dociekania nie miały żadnego praktycznego celu, a jedynie rozwój pełni człowieczeństwa.

Słowo „kultura” mające swe etymologiczne korzenie w łacińskim słowie *cul-*

tus (posiadającym treść religijną) nie stosuje się do kultury greckiej ani tym bardziej do nowożytnej. Nowożytna kultura jest zaledwie protezą leczącą utraconą jedność człowieka z naturą. Jeśli starożytni Grecy nie cierpieli z powodu kryzysu kultury, to dlatego, że owym substytutem religii była filozofia. Konkluzja, jaka wyłania się z powyższych uwag, jest taka: kryzys kultury będzie trwać tak długo, jak długo kultura nie będzie miała religijnych lub filozoficznych źródeł. Jednak powrót religii jako źródła jedności kultury jest raczej wątpliwy (choć możliwy, skoro coraz częściej kwestionuje się równanie modernizacja = sekularyzacja); z kolei powrót filozofii jest niepożądany, albowiem wszystkie znane nam przykłady ugruntowania jedności kultury w filozofii prowadziły do tyranii. Hartman podobnie jak Bloom nie jest z pewnością apologetą demokracji, zachowuje jednak liberalną postawę, z powodu braku politycznej alternatywy. Hartman podobnie jak Bloom, wbrew swym bezpardonowym napaściom na edukację, sugeruje, że to nie szkolnictwo zawiodło demokrację, lecz demokracja okazała się być wroga kulturze, jeśli przez kulturę rozumiemy przeciwieństwo wulgarności pochodzącej z handlu.

Kompetencja

Arystokratyczne spojrzenie na świat rzutuje także na teorię kompetencji, która jest daleka od idei demokracji. Hartman w tekście o Kartezjuszu zatytułowanym *Tylko dla dorosłych* pisze: „Ogromna część ludzkiej społeczności bardzo chętnie uznaje dyskursy nielogiczne, w ogóle nie rozumiejąc (ani tego pragnąc) żadnych tłumaczeń jasno wykazujących ich błędy”. Polemizując z twierdzeniem Kartezjusza, iż „Zdrowy rozum jest to rzecz ze wszystkich na świecie najlepiej podzielona”, Hartman powiada: „zdolność odróżniania prawdy od fałszu jest bardzo nierówno między ludźmi podzielona, choćby i nikt nie odczuwał, że mu jej brakuje”.

Przez kompetencje Hartman rozumie bardzo wiele. Być może zbyt wiele. W skład kompetencji wchodzi bowiem i wiedza, i umiejętności, ale też: „zdolności, cnoty, doświadczenie i społeczne formy upoważnień, co do których jednak [jednostka] jest przekonana, iż są wystarczającą podstawą do wolnej, podmiotowej działalności – skutecznej, a nawet twórczej”. Dla Hartmana kompetencja jest zawsze władzą nabytą, a więc rekonstruującą analogiczną kompetencję tego, kto uczy nas czegoś, co podpadnie pod kompetencję. Stąd zachowawczość kompetencji.

Z pojęciem kompetencji w filozofii podmiotu jest mniej więcej tak, jak z pojęciem paradygmatu w filozofii nauki: zrobiło ono ogromną karierę mimo niejasności znaczeniowej. Pojęcie kompetencji uzyskało swoje dzisiejsze znaczenie głównie dzięki tekstom Noama Chomsky'ego i jego słynnemu rozróżnieniu: kompetencja – wykonanie. Nigdy jednak pojęcie kompetencji nie stało się jasne i jednoznaczne. Przenoszone do innych dziedzin, pozajęzykowych, staje się jeszcze bardziej zagadkowe. Myślę, że można mu nadać kilka znaczeń.

(1) Chomsky upiera się przy twierdzeniu, że kompetencja językowa jest „wiedzą, że”, co oznacza, że jest wiedzą (a nie zbiorem umiejętności) o możliwościach języka naturalnego. Powiada on wielokrotnie całkiem wyraźnie, że wiedza, na którą wskazuje pojęcie kompetencji, nie jest nawykiem ani zbiorem nawyków. Nie jest jednak jasne, czy wszystkie rodzaje kompetencji, w tym kompetencja logiczna, dadzą się wyjaśnić w kategoriach przekonania, tj. w kategoriach wiedzy deklaratywnej. Prawdopodobnie, będzie czymś koniecznym, postulowanie istnienia mechanizmów, które wykonują pewne operacje, gdy spełnione są wyznaczone warunki. Usiłowanie dokonania interpretacji jednych zdań za pomocą innych zdań (i tylko zdań) prowadzi bowiem do nieskończonej regresji. Aczkolwiek, mimo że musimy użyć zdania, aby

wyrazić jakąś formułę, pokroju – „W okolicznościach X , wykonaj O ”, to procedura sama w sobie nie jest zdaniem, lecz mechanizmem, który wykonuje operacje. Należy zatem oczekiwać, że opis kompetencji, w szczególności w sferach pozajęzykowych, dokona się, przynajmniej częściowo w kategoriach *wiedzy, jak*.

Prof. dr hab. Jan Hartman,
Uniwersytet Jagielloński

Autoreferat naukowy - I. Heurystyka filozoficzna

... /samo sedno, red./

Teoria neutrum i zastosowania związanych z tą kategorią technik analitycznych z pewnością jest moim najważniejszym dokonaniem jako filozofa. Prezentacja neutrum w tym miejscu nie jest możliwa. Ograniczę się jedynie do podania przykładu „filozofowania przez neutrum”. Wyobraźmy sobie, że „neutrum” jest pewnym „po prostu”, „po prostu tym a tym”, czyli że w zasadzie można by powiedzieć, czym ono jest. Dajmy na to, jest zmienną, która przebiega zbiór wszystkich istotnych pojęć metafizycznych, mających w sobie jakiś moment substancjalny, a więc rozumianych jako odnoszących się do pewnego czegoś. Tak więc neutrum to nie tyle „absolut”, „nic”, „jaźń” itp., lecz pusty znak, „zabarwiający się” znaczeniami wymienionych słów. Można np. powiedzieć w języku pierwszego rzędu, iż „neutrum to (na przykład) idea absolutna”, ale w języku drugiego rzędu można powiedzieć, że „neutrum to forma znaku, wypełniająca się nazwami pojęć metafizycznych” albo „neutrum to ogólne pojęcie centralnej, konstytutywnej dla danego dyskursu kategorii metafizycznej” (lub tak jak wyżej: „zmienna...”). Oto więc próbowaliśmy wyjaśnić, czym jest neutrum. W świetle takiej próby jawi się nam ono jako to, o co pytamy, gdy zadajemy pytanie „co to jest”, a odpowiedź nas nie zadowala, gdyż jest cząstkowa i jed-

nostronna; byłyby więc neutrum czystym, domniemanym przedmiotem zapytywania jako takiego. Seria „określeń neutrum” wydłuża się, jak widać, i rozgałęzia. Badanie tych serii i rozgałęzień jest badaniem pojęciowych zasobów filozofii, transcendentalnym badaniem filozofującego umysłu.

...

Dwie książki metafizyczne dopełni w ciągu najbliższych lat trzeci tom, poświęcony epistemologii niewiedzy, *Ignorancja*. W pracy tej będę analizował formowanie się wiedzy jako kompensację niewiedzy oraz przejawy wiedzy jako *pozoru*. Interesują mnie strategie heurystyczne (metodologiczne, retoryczne, polityczne) zaprzeczania niewiedzy, wypierania *pamięci niewiedzy*, analogicznie do tego, jak świadomość neguje i wypiera nieświadomość. Negatywne spojrzenie na życie świadomościowe, a zwłaszcza na rozum teoretyczny, niejako spojrzenie z punktu widzenia „neutrum jako nieobecności wiedzy”, posłuży postawieniu centralnych pytań filozoficznych w nowym świetle refleksji heurystycznej, uwolnionej od dogmatycznego wyobrażenia myślenia jako *stawiania pytań* (artykulacji niewiedzy) oraz *uzyskiwania odpowiedzi* na nie (zastępowania niewiedzy wiedzą). „Otwartość” bądź „aporetyczność” kwestii filozoficznych ukazuje się w tej perspektywie jako *fałszywa świadomość* filozoficzna, podobnie jak jest nią Hegłowski „ruch myślenia”, domykający się wyobrażeniowo w założeniu neutrum jako *wiedzy absolutnej*. Rozwiązań ostatecznych nie ma, podobnie jak nie ma wiedzy absolutnej. Należy filozofować w świetle tej negowanej wciąż prawdy, co zresztą nie oznacza sceptycyzmu. Sceptycyzm jest bowiem jedynie odwróceniem fałszywej świadomości teoretycznej, nie wychodzącym wszelako poza nią. W heurystyce niewiedzy, heurystyce negatywnej stanowisko teoretyczne w takiej czy innej kwestii filozoficznej przestaje być „rozwiązaniem”, „argumentem” czy „koncep-



Jan Hartman

cją”, a występuje raczej jako „stosowne słowo”, adekwatne do lokalnego ruchu *określeń neutrum*.

...

III. Filozofia praktyczna

Moje zainteresowania filozofią polityki i etyką ewoluowały i przybierały rozmaite postacie. Wszelako od początku swej działalności jako autor prac filozoficznych interesowałem się liberalizmem, któremu zawsze starałem się dać uzasadnienie czysto negatywne, nie odwołujące się do silnych przekonań metafizycznych i moralnych. Nazywam te próby „liberalizmem bezpośrednim”. W etyce zaś interesowały mnie zawsze zagadnienia heurystyki dyskursu etycznego, a więc problematyka metaetyczna. Zajmowałem się zwłaszcza transcendentalnymi wątkami argumentacji etycznej (metaetycznej), a ostatnio: moralną oceną doktryn etycznych. Na ten temat zamierzam napisać obszerniejszą pracę. Ponadto w obszarze moich zainteresowań znajduje się bioetyka. Napisałem kilkanaście studiów na rozmaite tematy z tej dziedziny, częściowo zebrane w książce *Short Studies in Bioethics* (Kraków 2002). W bioetyce bronię stanowiska pragmatyczno-utilitystycznego, twierdząc, że w kwestiach „życia i śmierci”, do których należy większość problemów bioetycznych, konsekwencjalizm jest stanowiskiem mającym przewagę natury moralnej nad wszelkiego rodzaju pryncypializmem. □

CZYM JEST DZISIAJ BIOETYKA?

Artykuł ten jest poszerzoną wersją mojego wykładu habilitacyjnego, wygłoszonego 8 XI 2001 r. przed Radą Wydziału Filozoficznego UJ. Ukazał się w czasopiśmie Archeus, w roku 2002.

Po raz pierwszy filozofowie stali się niedawno uczestnikami, i to być może najważniejszymi uczestnikami, procesu, w którym powstaje nowa, istotna dyscyplina akademicka. Dyscyplina będąca zresztą nie tylko działem „akademii”, ale pewnym fragmentem życia społecznego, który rozciąga się pomiędzy ściśle rozumianym światem akademickim, polityką oraz przestrzenią debaty publicznej, odbywającej się za pośrednictwem mass mediów. Filozofowie wzięli oto na siebie odpowiedzialność za ukształtowanie, konsolidację i integrację wewnętrzną czegoś, co jeszcze jako jednolita i spójna dyscyplina nie istnieje, jakkolwiek są na to dobre widoki. Ta dyscyplina *in statu nascendi*, której powstawania jesteśmy świadkami, nazywa się „bioetyka”. Sama nazwa „bioetyka” predestynuje filozofów, a mianowicie etyków, którzy przecież są filozofami, do tego, aby odgrywali rolę promotorów i aktywnych współtwórców tej nowej domeny naukowej ekspercji, znajdującej się w procesie budowy. Jednak, proces ten bynajmniej nie jest oddany w ich ręce w sposób jednoznaczny i świadomy, a filozofowie nie są większością, lecz przeciwnie – mniejszością pośród tych sześciu czy siedmiu tysięcy pracowników naukowych z całego świata, którzy uważają się za trwale związanych z dziedziną bioetyki. Filozofowie być może po raz pierwszy zostali postawieni w jednym szeregu, na gruncie pewnego wspólnego zadania poznawczego, razem z przedstawicielami innych dyscyplin: z socjologami, psychologami, prawnikami, ekonomistami, a przede

wszystkim lekarzami i biologami. Wprawdzie pozostawiono kompetencjom filozofów dbałość o metodologiczną koherencję i sprawność procesu konsolidacji tej dyscypliny, jednak większość członków tego środowiska, zdominowanego zresztą przez Amerykanów, nie dysponuje takim pojęciem filozofii czy też nie akceptuje takiego pojęcia filozofii, w myśl którego jest to dyscyplina akademicka o charakterze fundującym lub syntetycznym w stosunku do wszystkich innych. Na takie rozumienie słowa „filozofia” i na związaną z nim uprzywilejowaną pozycję filozofowie nie mogą tu liczyć, mimo że postawieni są przed trudnym zadaniem, które wymaga pewnego autorytetu. Słowo „filozofia” przyjmuje w tym środowisku znaczenie, jakie ma w potocznej kulturze intelektualnej w Stanach Zjednoczonych: ogólny namysł nad istotnymi, z punktu widzenia osobowego oraz społecznego doświadczenia, aspektami rozmaitych zjawisk (w tym wypadku: zjawisk świata medycznego). Filozof więc to nie tyle specjalista w jakimś zakresie kompetencji akademickiej, lecz intelektualista zdolny do pogłębionej i popartej ogólną erudycją refleksji, nacechowanej roztropnością i wrażliwością. Podobnie i słowo „etyka” nie funkcjonuje w środowisku bioetycznym w znaczeniu dyscypliny akademickiej, lecz oznacza ogół standardów uczciwości i przyzwoitości oraz refleksję, w której są one wypracowywane i komentowane. Słowo „moralność” natomiast dość wyraźnie kojarzy się tu z domeną przekonań religijnych oraz obyczaju. Tym samym z góry prze-



Kartezjusz (René Descartes)

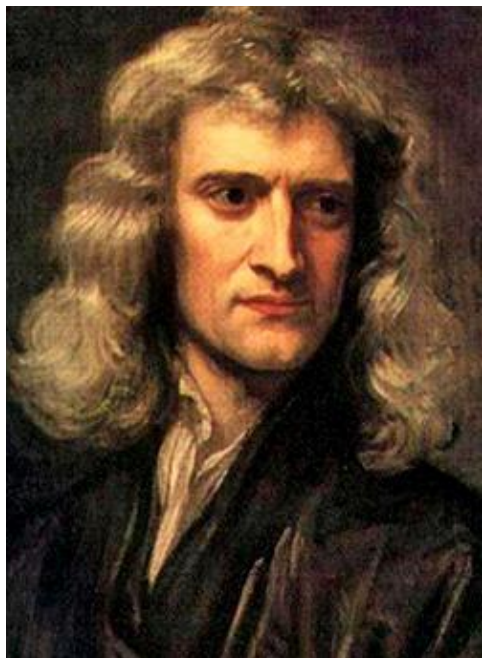
sądzone jest to, że bioetyka powinna być wprawdzie nacechowana poważaniem dla rozmaitych przekonań moralno-religijnych oraz rozmaitych obyczajów, lecz sama nie może się w nie angażować, poprzestając na budowaniu warunków uczciwego, demokratycznego i równego współistnienia osób oraz wspólnot o różnych potrzebach, stylach życia, przekonaniach i możliwościach.

Bioetyka istnieje dopiero od około czterdziestu lat. Jest też chyba jedyną dyscypliną, w której filozofom dano głos ważny, liczący się, a jednocześnie mającą bezpośredni wpływ na rzeczywistość polityczną. Filozofowie uzyskują na gruncie bioetyki wyjątkową możliwość udziału w formułowaniu procedur oraz aktów legislacyjnych, które mają wpływ na życie i komfort życia milionów ludzi na całym świecie. Rodzi to szczególną odpowiedzialność filozofów, bodaj nigdy dotąd w dziejach filozofii nie spotykaną.

Bioetyka powstała z potrzeby praktycznej, a mianowicie z potrzeby przeprowadzenia publicznej debaty nad dostępnością nowych, bardzo kosztownych technik

dializ dla uboższych części społeczeństwa. Sukces tej debaty, jaka odbyła się na początku lat 60. w USA, i jej konkluzyność spowodowała, że bardzo szybko na gruncie publicznym wytoczono kolejne zagadnienia praktyczno-moralne związane z życiem medycznym, zwłaszcza zaś bolesne zagadnienia jakoś kojarzące się z traumą II wojny światowej, z praktykami naziistowskimi, ze zbrodniczymi nadużyciami w stosunku do więźniów obozów koncentracyjnych. Okazało się, że na Zachodzie – w samej Ameryce, ale także w krajach europejskich – są przypadki wykorzystywania osób innych ras niż biała i pochodzących z niższych warstw społecznych do eksperymentów medycznych, bez jawnej, świadomej, kompetentnej zgody z ich strony. Było to pole dyskusji, na którym zaczęła się kształtować „bioetyka” jako nowa dyscyplina.

Słowo „bioetyka” było pierwotnie skrótem od wyrażenia *biomedical ethics*. Wraz z upowszechnieniem się terminu „biotechnologia” zaczęło zaś być uważane za skrót wyrażenia *biotechnological ethics*. Pierwszymi profesorami nowej



Isaak Newton

dyscypliny, ekspertami, którzy podjęli się zorganizowania systematycznej praktyki akademickiej pod nową nazwą „bioetyka”, byli David Thomaśma w Chicago (zmarły w 2002 r.), Tristram Engelhardt w Teksasie oraz Albert Jonsen w San Francisco. Powszechny wpływ bioetyki na życie medyczne, przynajmniej w USA, zaznaczył się już na początku lat 80, a to głównie dzięki sławnemu opracowaniu zagadnień bioetycznych przez dwóch konserwatywnych autorów, Tomą Beauchampa i Jamesa Chidressa w pracy *Principles of Biomedical Ethics*.

Od momentu powstania bioetyki minęło więc czterdzieści lat. Proszę sobie wyobrazić, że po tych czterech dekadach funkcjonowania owego akademickiego i publicznego forum dyskusji, gdzie na równych prawach głos zabierają lekarze, politycy, prawnicy, socjologowie i filozofowie, z pewną tylko, niezbyt mocno zaznaczoną wspólną zgodą na to, że ci ostatni będą odgrywać w tej nader praktycznej dyscyplinie rolę moderatorów,

rolę integrująco-syntezyjącą, rolę tych, którzy formułują pewne konkluzje i dostarczają pewnych ogólnych ram pojęciowych i teoretycznych dla prowadzonych dyskusji, otóż po czterech dekadach istnienia tej dyscypliny zaszła ona tak daleko pod względem swego społecznego znaczenia, że George W. Bush jako nowy prezydent Stanów Zjednoczonych w jednym ze swych pierwszych wystąpień, 9 sierpnia 2001 roku, mówił głównie na tematy bioetyczne, odczytując tekst napisany przez profesora filozofii, po wcześniejszych bezpośrednich konsultacjach prezydenta z trzema innymi profesorami, bioetykami będącymi z pierwszego wykształcenia filozofami. Tekst ten był poświęcony stanowisku rządu amerykańskiego w kwestii możliwości finansowania ze środków federalnych badań nad komórkami macierzystymi. Oto spośród tych wszystkich zagadnień społecznych, z którymi musi się borykać rząd USA i o których musi do społeczeństwa mówić, wybór padł właśnie na kwestie bioetyczne, a sposób, w jaki konsultowane było odpowiednie środowisko, a więc w tym wypadku środowisko bioetyczne, był najbardziej bezpośredni, najbardziej pełen zaufania, jak tylko można to sobie wyobrazić.

Chciałbym skupić się na kwestii udziału samych filozofów w środowisku bioetycznym. Jak już wspomniałem, nasze znaczenie w tym środowisku nie jest eksponowane, choć zadanie, jakie w nim mamy do spełnienia, jest zupełnie podstawowe. Na filozofach bowiem spoczywa odpowiedzialność za uzyskiwanie przez tę dyscyplinę samowiedzy naukowej, która zresztą bynajmniej nie jest analogiczna do tej, jaką dysponują inne nauki społeczne. Wynika to stąd, że bioetyka nie jest po prostu częścią świata akademickiego, gdyż w równym stopniu jest ona częścią świata medycznego, a ponadto do jej substancji należą dyskusje i debaty prowadzone także poza uczelniami – na konferen-

cyjach i w komitetach bioetycznych, które nie uważają się za część świata naukowego i faktycznie wprost do niego nie należą. Filozofowie pełnią więc rolę moderatorów czy „syntetyków”, jakkolwiek natura samej dyscypliny wymusza na nich to, aby ich rozważania zawsze brały za punkt wyjścia konkretne zagadnienia praktyczne. Nimi to więc filozofowie, niezależnie od swych inklinacji w stronę ogólnej i abstrakcyjnej refleksji, muszą się faktycznie zajmować.

Przeglądem tych zagadnień konkretnych zajmę się za chwilę. Nakreślę, wprawdzie tylko schematycznie i powierzchniowo, typowe obszary tematyczne, jakim przyporządkować można publikacje w czasopismach bioetycznych oraz wystąpienia konferencyjne (a konferencje są tą formułą życia naukowego, z której bioetyka korzysta najchętniej). Przed filozofami staje tu każdorazowo zadanie takiego przeformułowania klasycznych zagadnień etyki i klasycznych sporów w tej dziedzinie, aby można je było zidentyfikować w takim właśnie, konkretno-kauzalitycznym kontekście.

Ogólna problematyka etyczna, która najbardziej się liczy w bioetyce, to problematyka stosunku pomiędzy pryncypializmem (etyką autonomiczną) a etyką utylitarystyczną (etyką konsekwencjalistyczną). Chciałbym szczególnie mocno podkreślić to, że najistotniejszym rysem metodologicznym i moralnym tego tak zróżnicowanego środowiska jest przekonanie, iż każda dyskusja dotycząca zagadnień moralnych musi nawiązywać do pewnej wiedzy empirycznej, wiedzy statystycznej oraz wiedzy konkretno-naukowej, która daje podstawy do oceniania możliwych konsekwencji planowanych czy rekomendowanych w danym wypadku rozwiązań, które też muszą być bardzo praktyczne w swym charakterze. Istnieje wymóg przechodzenia od sformułowań ogólnych, teoretycznych, pryncypialnych do pew-

nych rekomendacji konkretnych, a wręcz sformułowań legislacyjnych, owych tzw. *guidelines and recommendations*.

Każda taka praktyczna, konkretna propozycja, choćby nie wiem jak abstrakcyjnie umocowana w dyskursie filozoficznym, musi mieć za sobą obrachunek kosztów i korzyści, a więc rachunek utylitarystyczny. Każda propozycja musi być więc poparta rozważeniem kwestii następujących: czyje dobro jest w danym wypadku brane pod uwagę, jaka jest cena osiągnięcia tego dobra, kto cenę tę zapłaci. Brak tego rozeznania, a zwłaszcza odmowa zainteresowania tą stroną empiryczną zagadnienia, realnymi konsekwencjami zamierzanych czynów lub regulacji, na przykład w imię godności czystych ideałów, na które mielibyśmy się powoływać, jest uważana nie tylko za błąd metodologiczny – jest uważana także za coś niemoralnego. To ogromnie ważne. Pragmatystyczny czy utylitarystyczny duch, który ze względu na amerykańską proveniencję dyscypliny tutaj dominuje, nakazuje traktować rachunek utylitarystyczny i ten utylitarystyczno-empirystyczny punkt widzenia jako *nakaz moralny*.

Jeśli na przykład ktoś, rekomendując karanie kobiet za dokonywanie aborcji, powołuje się wyłącznie na pryncypia, nie zastanawiając się wcale nad tym, jakie działania społeczne i prawne mogą doprowadzić do realnego ograniczenia tego zjawiska, odmawiając przyjęcia tego punktu widzenia, tej formy troski, wówczas jego głos nie może być brany pod uwagę. Zarówno w przypadku aborcji, jak i w przypadku wszystkich innych zagadnień bioetycznych, naszym obowiązkiem jako bioetyków jest zadać pytanie o to, w czym tkwi zło oraz jakie środki prowadzą do jego rzeczywistego ograniczenia, a nie o to, jakie sformułowanie prawne będzie najpełniejszym wyrazem pryncypium etycznego, które wiąże się z negacją tego zła. Może być bowiem czasem tak, że duża punityw-

ność prowadzi do rezultatów negatywnych i szkodliwych.

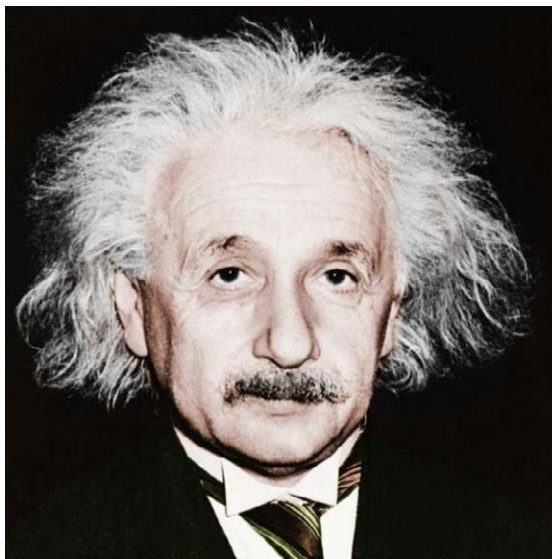
Nie należy sądzić, że bioetyka znajduje się wciąż jeszcze w stadium agregacyjnego skupiska rozmaitych kompetencji, że jest tylko wolnym forum dyskusji nad istotnymi, ale jeszcze nie opracowanymi teoretycznie kwestiami życia publicznego w pewnym jego segmencie. Otóż nie. To stadium wyjściowe, stadium multidyscyplinarności, bioetyka ma za sobą. Wykształcił się już bowiem nie tylko pewien obszar ściśle naukowych kompetencji własnych, obszar literatury ściśle bioetycznej, nie tylko kilka tysięcy osób identyfikuje jakiś względnie jednolity obszar naukowych dyskusji, nie tylko dochodzi do wzajemnego nakładania się, zachodzenia na siebie kompetencji uczestników debat bioetycznych, ale istnieją już ogólne teorie, koncepcje filozoficzne, które stanowią poważne propozycje pojęciowych ram całej dyscypliny. Przykładem może być kantowski z ducha system bioetyki T. Engelhardta, teoria zdrowia i choroby L. Nordenfelda, empirystyczny program uprawiania bioetyki J. Harrisa, zastosowanie etyki dyskursu do problematyki bioetycznej M. Kettnera, czy też koncepcja uprawiania bioetyki jako kazuistyki proponowana przez A. Jonsena. Można powiedzieć, że bioetyka, opuściwszy już poziom „multidyscyplinarności”, znajduje się dziś w stadium pośrednim pomiędzy „transdyscyplinarnością” a „interdyscyplinarnością”.

Przed naszkicowaniem tematyki szczegółowych debat bioetycznych chciałbym poczynić pewne wyjaśnienie demarkacyjne. Otóż w niektórych kontekstach, zwłaszcza w prasie, termin „bioetyka” pojawia się w bardzo szerokim znaczeniu, obejmującym tzw. etykę środowiskową i ekologię, a nawet to, co dawniej nazywano „higieną”, czyli społeczną świadomość zdrowotną i jej propagowanie. Nie ma powodu, aby zakazywać takiego sze-

rokiego stosowania słowa „bioetyka”; jednakże trzeba uznać fakt, iż w sensie akademickim, profesjonalnym, „bioetyka” jest spadkobierczynią dawnej filozofii medycyny oraz etyki medycznej, wobec czego wszelkie publikacje i konferencje odbywające się pod jej szyldem dotyczą zagadnień ochrony zdrowia, stosunków pomiędzy lekarzami i pacjentami oraz badań naukowych w zakresie medycyny i biotechnologii.

Sprawy ochrony środowiska, praw zwierząt, zdrowego i ekologicznego stylu życia pojawiają się w kontekście bioetyki tylko incydentalnie; mają one odrębne nisze akademickie i medialne. Dodatkowo należy jeszcze wyjaśnić, że istnieją dwa różne style uprawiania bioetyki i dwa, częściowo rozłączne, obszary jej akademickiego funkcjonowania: amerykański i europejski. Amerykańska bioetyka jest bardziej praktyczna, a jednocześnie bardziej związana z prawem i polityką, europejska natomiast bardziej skłania się ku teorii, w tym ku refleksji filozoficznej. W przedstawionym tu wyliczeniu najczęściej dyskutowanych zagadnień bioetyki obie te perspektywy potraktowałem łącznie, co jest usprawiedliwione, że coraz więcej publikacji i konferencji bioetycznych ma charakter transatlantycki; nie zmienia to wszelako absolutnej dominacji języka angielskiego w tej dyscyplinie (dlatego podaję kilka popularnych terminów angielskich).

Najprostszy podział zagadnień bioetyki odróżnia zagadnienia ogólnosystemowe, związane ze skuteczną i sprawiedliwą ochroną zdrowia (system opieki zdrowotnej, zdrowie publiczne), zagadnienia etyczne związane ze stosunkami lekarzy i pacjentów (na przykład autonomię pacjenta, prywatność *etc.*) oraz zagadnienia etyki badań klinicznych i biomedycznych (świadomą zgodę na badania, prawo uczestników badań do korzystania z ich wyników). Znaczna część tematów bio-



Albert Einstein

etyki daje się też elegancko spolaryzować pod szyldami „zagadnień związanych z początkiem życia” i „zagadnień związanych z końcem życia”. Teraz jednak przedstawię podział nieco bardziej skomplikowany, lecz mający tę zaletę, że odpowiada dość dobrze faktycznemu układaniu się zagadnień w praktyce akademickiej bioetyki, to znaczy w bioetycznych publikacjach i na konferencjach. Będę mianowicie odróżniał dwa podstawowe punkty widzenia, z których rozważa się problemy: punkt widzenia osoby oraz punkt widzenia organizacji stosującej pewne standardy i procedury. Ten podział aspektów zostanie skrzyżowany z bardziej przedmiotowym podziałem obszarów organizacyjnych, w których dana problematyka się pojawia. Będą to obszary następujące: laboratorium (lub klinika), zwykły szpital, krajowy system opieki zdrowotnej oraz indywidualna praktyka lekarska.

I. Z perspektywy laboratorium oraz kliniki przeprowadzającej doświadczenia i badania nad nowymi lekami i terapiami zasadnicze kwestie bioetyczne odnoszące się wprost do *jednostki ludzkiej* to:

- świadoma zgoda na badania (*informed consent*);
 - motywacja do udziału w badaniach (na przykład presja ekonomiczna, bieda) oraz kryteria rekrutacji osób do badań;
 - odpowiedzialność za niepowodzenia w badaniach (szkody na zdrowiu, skutki zaniechania lub opóźnienia zastosowania normalnie stosowanych w danym przypadku procedur) oraz los chorych z grupy kontrolnej, otrzymujących placebo;
 - prawo uczestników badań do korzystania z ich wyników.
- Jeśli chodzi o etyczne aspekty *procedur klinicznych*, to najbardziej istotne są procedury i kwestie proceduralne następujące:
- kwestia kryteriów dopuszczania badań do etapu klinicznego (badań na ludziach);
 - procedury rekrutacji osób do testowania leków i terapii (na przykład udział cudzoziemców, konieczność minimalizacji cierpień zwierząt);
 - procedury opiniotwórcze i kontrolne, w tym działalność komitetów etycznych (bioetycznych);

- procedury budowania świadomej zgody na badania i sprawdzania rozumienia przez uczestników badań ich medycznej istoty oraz występującego w nich ryzyka;
 - procedury związane z zarządzaniem ryzykiem operacyjnym (na przykład podczas rozdzielania bliźniąt syjamskich);
 - zakres i cele stosowania preimplantacyjnych i prenatalnych badań genetycznych (PGD);
 - dozwolone sposoby pozyskiwania oraz wykorzystywania komórek macierzystych (*stem cells*);
 - procedury związane ze skanowaniem genomu, ochroną uzyskanych w ten sposób danych, wykorzystywaniem tych danych, patentowaniem technik genetycznych;
 - wprowadzanie modyfikacji genetycznych motywowane względami terapii i ewentualnie względami pozazdrowotnymi (moralna dopuszczalność takich praktyk);
 - klonowanie terapeutyczne tkanek, klonowanie człowieka i jego moralna dopuszczalność.
- II. Inny nieco jest punkt widzenia szpitala czy nawet ambulatorium prowadzącego rutynową działalność terapeutyczną. W odniesieniu do *konkretnego człowieka* praktyka szpitalna wiąże się najczęściej z następującymi kwestiami etycznymi:
- poszanowanie autonomii pacjenta (prawa do informacji o własnym stanie zdrowia i prawa do wyrażenia zgody bądź odmowy leczenia);
 - prymat dobra pacjenta (na przykład przed interesami ekonomicznymi i organizacyjnymi szpitala) – tzw. *beneficence*;
 - kwestia prywatności i dyskrecji oraz tajemnicy lekarskiej;
 - rola i prawa rodziny, jak również granice ważności oświadczeń woli członków rodziny (na przykład w kwestiach związanych z podtrzymywaniem życia albo jego ratowaniem z użyciem transfuzji krwi);
 - postępowanie z chorymi niedostatecznie ubezpieczonymi, a wymagającymi kosztownego leczenia;
 - kryteria dystrybucji usług deficytowych (zasady ustalania kolejności w dostępie do zabiegów i urządzeń);
 - stwarzanie należytych warunków umierania.
- Procedury*, których doskonaleniem zainteresowany jest szpital, to zwłaszcza:
- procedury opiniotwórcze i kontrolne szpitalnych komitetów etycznych;
 - zagadnienia opieki paliatywnej i wstrzymywania procedur reanimacyjnych bądź podtrzymujących funkcje życiowe (zwłaszcza ustalanie momentu śmierci i kryteria komendy DNR – *do not resuscitate*, zaprzestań reanimacji);
 - postępowanie z osobami w demencji, a zwłaszcza kwestia poszanowania autonomii tych osób we wcześniejszych stadiach choroby; kwestia stosowania tzw. pigułki szczęścia;
 - autonomia pacjenta w leczeniu psychiatrycznym oraz specjalne wymagania chorych psychicznie (kwestia dyskrecji, ochrona osób trzecich, rola rodziny); reguły stosowania przymusu w psychiatrii;
 - procedury związane z aborcją;
 - procedury związane z transplantacją organów (postępowanie z dawcą i biorcą) i tkanek;
 - ochrona praw personelu medycznego do powstrzymywania się od udziału w budzących wątpliwości moralne procedurach;
 - ochrona personelu medycznego przed czynnikami szkodliwymi dla zdrowia (zakażenia, promieniowanie);
 - ochrona personelu medycznego przed agresją prawną ze strony pacjentów i ich adwokatów;

- ochrona personelu i pacjentów przed agresją fizyczną na terenie szpitala.

III. Obszar zagadnień związanych z systemem ochrony zdrowia, widzianym z punktu widzenia interesów *pojedynczej osoby*, można zakreślić następująco:

- kwestie solidarności i opiekuńczości, a zwłaszcza dostępność usług medycznych dla osób ubogich oraz zasady wzajemności ubezpieczeniowej;
- kwestie priorytetów i korelatywnie: zadań zdegradowanych (na przykład ze względu na statystyczną marginalność jakiejś jednostki chorobowej);
- kwestie moralne powstające na przecięciu publicznego i prywatnego sektora systemu ochrony zdrowia, a zwłaszcza zakres świadczeń (i dostępności leków) płatnych z ubezpieczenia publicznego (na przykład chirurgia plastyczna, zapłodnienia *in vitro*);
- los osób nieubezpieczonych (obywateli oraz imigrantów) oraz odpowiedzialność gminy i państwa za ich kondycję zdrowotną;
- kwestia propagandy zdrowotnej i odpowiedzialności jednostki za własne zdrowie;
- kwestie równości i słusznego uprzywilejowania (na przykład dzieci, kobiet w ciąży i osób umierających).

Kwestie związane z *procedurami* systemowymi, wtórnie przekładające się na losy poszczególnych chorych, są następujące:

- organizacja badań profilaktycznych i populacyjnych zmierzających do ustalenia priorytetów epidemiologicznych i identyfikacji grup ryzyka (na przykład przesiewowe badania genetyczne w kierunku ryzyka zachorowania na raka piersi);
- kontrola obiegu pieniądza w systemie (oszczędność jako nakaz moralny);
- ekonomika obrotu lekami (na przykład rzadkimi, drogimi lub odwrotnie – po-

trzebnymi w wymiarze masowym, problemy tzw. leków genetycznych), zagadnienia komercyjne w medycynie transplantologicznej;

- publiczna kontrola nad systemem (komitety i związki chorych, stowarzyszenia samopomocowe, prasa);
- systemowe zagadnienia sprawiedliwości rozdzielczej (gospodarka deficytem, skutki starzenia się społeczeństwa (*ageing problem*), solidarność międzypokoleniowa, kwestia usług niestandardowych i granic aspiracji zdrowotnych (*boutique medicine*), dobroczynność i jej funkcjonowanie w systemie);
- konwencje i standardy międzynarodowe lecznictwa (ujednolicone procedury i ich granice – tzw. *evidence based medicine*, EBM);
- zapobieganie błędom lekarskim i niepożądanym skutkom procedur medycznych (kwestia tzw. jatropatogenii);
- globalne zagadnienia ekonomiczno-zdrowotne (problem głodu, skutki propagandy tamującej dystrybucję taniej żywności transgenicznej), zagadnienia solidarności międzynarodowej (na przykład pomoc w zwalczaniu gorączek zakaźnych, negocjacje z firmami farmaceutycznymi, profilaktyka i zwalczanie AIDS w Afryce).

IV. Zespół zagadnień związanych z działalnością poszczególnych lekarzy. W konkretnych stosunkach z *poszczególnymi chorymi* pojawiają się zwłaszcza kwestie następujące:

- prymat dobra pacjenta nad interesem lekarza;
- poszanowanie autonomii pacjenta i dyskrecja;
- uczciwa ocena własnych kompetencji przez lekarza;
- lojalność wzajemna lekarza i pacjenta;
- informowanie pacjentów o ich stanie zdrowia;
- odpowiedzialność lekarza za własne błędy w rozpoznaniu i leczeniu;

- prawo lekarza do nieuczestniczenia w procedurach wątpliwych moralnie (takich jak eutanazja, wspomagane samobójstwo, aborcja).

Z *proceduralno-organizacyjnego* punktu widzenia praktyka lekarska nasuwa takie zagadnienia, jak:

- standaryzacja procedur diagnostycznych i terapeutycznych (EBM) i jej granice;
- system kontroli działań lekarza i podział odpowiedzialności pomiędzy współpracowników;
- stosunki pomiędzy lekarzami a pozostałym personelem medycznym;
- ochrona dóbr cywilnych (w tym ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej) lekarzy;
- „procedury wrażliwe” (eutanazja, wspomagane samobójstwo, odstąpienie od terapii, pobieranie organów do transplantacji, aborcja);
- kodeksy etyki lekarskiej i procedury ich modyfikowania;
- procedury awansowe lekarzy i ich związek z podstawową praktyką terapeutyczną.

Każdy z wymienionych w tym dość obszernym wyliczeniu problemów wiąże się z co najmniej kilkoma trudnościami natury etycznej, których specyfikacji poniecham, pozostawiając to domyślności czytelników. Większość codziennej pracy bioetyków poświęcona jest zagadnieniom szczegółowym, zawierającym się w zarysowanych powyżej obszarach. Ponadto jednak na co dzień prowadzi się całkiem już filozoficzne debaty o istocie zdrowia i choroby, kryteriach dobrego życia, cierpieniu i śmierci, a wreszcie o samej bioetyce jako takiej: jej zadaniach, metodach, naturze organizacyjno-metodologicznej i funkcji społecznej. Siłą rzeczy nauka znajdująca się w fazie organizacji jest intensywnie zajęta określeniem własnej teo-

retycznej tożsamości oraz krytyczną analizą swych perspektyw poznawczych. Ciężar tych metodologicznych rozważań spoczywa głównie na bioetyce europejskiej, mającej, jak już wspomniałem, w ogólności znacznie bardziej filozoficzne zacięcie.

Oto jak w grubych zarysach prezentuje się problematyka bioetyki. Jest rzeczą zadziwiającą, jak daleko wychodzi ona poza to, co potocznie kojarzone jest ze słowem „bioetyka” (aborcja, eutanazja, wykorzystanie komórek macierzystych, odłączanie aparatów podtrzymujących życie, problemy związane z transplantacją organów). Uderzający jest również brak w tym wyliczeniu tak zasadniczej kwestii, jak korupcja w służbie zdrowia. Powód jest taki, że na Zachodzie korupcji tej prawie nie ma i nikomu nie przychodzi do głowy traktowanie jej jako odrębnego zagadnienia w bioetyce (a nie li tylko jako zagadnienia kryminalistycznego); jeśli kwestia korupcji w ogóle się pojawia, to jedynie w wypowiedziach nielicznych przedstawicieli Europy pokomunistycznej.

Prezentację młodej dyscypliny powinien dopełnić rzut oka na jej przypuszczalne przyszłe perspektywy. Otóż w tej sprawie panuje zgoda: przyszłość bioetyki wiąże się z narastającymi problemami wynikającymi z postępu biotechnologii i manipulacji genetycznych. Przed nami zapewne era społeczeństwa eugenicznego, w którym możliwe będzie nie tylko zapobieganie najróżniejszym ułomnościom wrodzonym, ale i modyfikowanie genomu już urodzonych ludzi, łącznie z udoskonalaniem ich funkcji poznawczych oraz drastycznym opóźnieniem procesów starzenia się tkanek. Perspektywy te są zawrotne i nie ulega kwestii, że mierząc się z nimi, bioetyka powiększy jeszcze swe brzemie odpowiedzialności, które już dziś jest znacznie większe niż cokolwiek, co dotychczas było udziałem filozofów. □

DYSKURS

JÓZEF KABAJ

JAK TO WŁAŚCIWIE JEST Z NIEBYTEM?

Kieruję to pytanie do prof. Jana Hartmana, którego pracę habilitacyjną o trzeciej „substancji” – neutrum (udostępnioną w Sieci) – przeczytałem (dość dawno) z dużym zainteresowaniem. Z tym większą zaś uwagą, że jakiś czas wcześniej, pisząc pracę o filozoficzno-teologicznym systemie Jana Szkota Eriugeny – odczytałem się między innymi w Dionizym Pseudo Areopagicie.

W poprzednim numerze FMW (107) zasygnalizowałem – włączając się do dyskusji na temat „wieloświata” jako sumy „wszechświatów” – że to są bajki, jeśli się trzymać właściwego znaczenia pojęć. Stoję bowiem na stanowisku – jako *primo voto* językoznawca (pracę z leksyki obroniłem w 1965 roku), *secundo voto* historyk filozofii (doktorat 1974) – biorąc słowa ściśle nie można mówić z sensem o wielu światach; a co dopiero o wielu wszechświatach. Metaforycznie – owszem, ale to nie jest pole nauki, lecz literatury, a ogólnie biorąc – sztuki.

Obecne pytanie dotyczy pojęcia „niebytu”, ponieważ również na uniwersytetach państwowych w Polsce pojawiły się po przemianie ustrojowej wydziały, na których – za pieniądze podatników – uprawia się dyscypliny, w ramach których stawiane jest pytanie o relacje pomiędzy bytem a niebytem. Tak jakby nie brano tam pod uwagę stwierdzenia Parmenidesa z Elei (o którym też – tu i ówdzie wspominałem; ur. ok. 540 p.n.e., zm. ok. 470), że niebytu nie ma.

Ciekawa rzecz: autor wpisu w Wikipedii podaje, że ów Parmenides postawił pytanie, czy niebyt istnieje. Ja zaś, jako filolog klasyczny i dr filozofii (z długim stażem w tych naukach), wiem, że to było inaczej. Mianowicie – co jest zgodne z logiką, czyli (w tym przypadku) z racjonalnym myśleniem, inaczej: ze zdrowym rozsądkiem – że Parmenides wykluczał istnienie niebytu; przynajmniej tego, co jest zaprzeczeniem istnienia. Mówiąc konkretnie: byt, rozumiany jako „to co jest” – jest ogólnym określeniem rzeczy istniejących, np. takich jak buraki, morza czy góry. „Nieburak”, „nie morze”, „nie góra” – to są określenia, które nie dotyczą niczego konkretnego. Bo moim zdaniem jeśli wszystko prócz buraków jest nieburakami, to takie stwierdzenie nie ma wartości poznawczej. Podobnie z morzami czy górami. Nie mówiąc już o niedurniach i durniach. Czy istnieje niedureń? Chociaż w tym ostatnim przypadku (bądź nawet wypadku), tutaj może i jest jakiś sens...

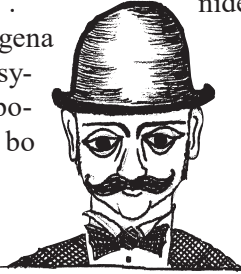
Studiuje się na tych wydziałach m.in. takiego Dionizego Pseudo Areopagite, który miał twierdzić, że „bytem wszystkiego jest boski ponadbyt”. Jeśli jednak wyczytać się lepiej w łaciński przekład tego stwierdzenia, które po grecku (czyli w zachowanych cytatach w języku oryginału) brzmi οὐσία και υπέρ οὐσία της θεότητας, czyli – po łacinie – *essentia et superessentia divinitatis*, inaczej *esse et superesse divinitatis*, to pojawia się możliwość innej interpretacji słów Dionizego

go, niż niezrozumiała w końcu (lub do końca...) „boskość” (θεότητα – divinitas). Inny zapis – cytat łaciński (przytaczany przez Jana Szkota Eriugena w IX w.) – mówi właśnie (również o *esse omnium*, czyli o „bycie wszystkiego”), że jest tym czymś nie „boski ponadbyt” (poprzez przydawkę dopełniaczową *divinitatis superesse*), lecz *superesse divinitas*, czyli „ponadbyt boskość”.

Stąd to się wzięło, że Eriugena został potępiony przez kilka synodów za panenteizm, czyli pogląd, że wszystko jest święte, bo

wszystko jest boskie. Szerzej: το παν εν θεώ εστιν – *omnia in Deo sunt* – wszystko jest w Bogu.

A co w takim razie znaczyć mogą same takie słowa jak „boskość” lub „ponadbyt”? Czyżby „niebyt”? To jest właśnie moje pytanie do prof. Hartmana, fenomenologa i specjalisty od „neutrum”. Któremu przecież nie jest obcy Parmenides... □



SZTUKA SŁUCHANIA

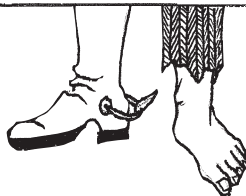
Na jednym ze zgromadzeń ludowych zakrzyczano ateńskiego mówcę Demadesa. Powiedział wtedy:

- Nie mnie przeszkadzacie mówić, tylko sobie słuchać!

ŻONA JĘDZA

Pewnego razu kłótniwa Ksantypa, niosąc wodę, zaczęła krzyczeć na swego mądrego mężonka, ale on jak zwykle milczał. Rozjątrzona jego spokojem, wylała mu wodę na głowę. Wtedy Sokrates, wycierając się, rzekł z uśmiechem:

- Czyż nie mówiłem, że kiedy Ksantypa grzmi, to potem lunie deszcz?



BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

JAN JÓZEF LIPSKI (1926–1991)

W maju 2026 przypada 100 rocznica urodzin, a we wrześniu 35 rocznica śmierci Jana Józefa Lipskiego, historyka literatury (znawcy twórczości Jana Kasprowicza), publicyisty, jednego z najbardziej znanych działaczy opozycji przed sierpniem 1980, socjalisty, senatora I kadencji 1989-1991, a nade wszystko wolnomularza, którego determinacja przyczyniła się do odrodzenia Sztuki Królewskiej w powojennej Polsce.

Urodził się 25 maja 1926 roku w Warszawie w rodzinie inteligentnej jako syn Romana Lipskiego, z wykształcenia inżyniera mechanika, dyrektora szkoły zawodowej, oraz Anieli z domu Kobla.

Rozpoczął przed wybuchem wojny naukę szkolną kontynuował w okresie okupacji na tajnych kompletach, jednocześnie angażując się w działalność konspiracyjną w Szarych Szeregach i biorąc udział w akcjach tzw. małego sabotażu „Wawer”. Od 1943 roku był żołnierzem Armii Krajowej w batalionie, a potem pułku „Baszta”, z którym walczył w Powstaniu Warszawskim na Mokotowie. Po zakończeniu wojny w 1946 roku zdał maturę i rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Brał udział w studenckim życiu intelektualnym jako członek Koła Polonistów oraz jako uczestnik nieformalnych kółek samokształceniowych i klubów dyskusyjnych. Był jednym z założycieli przynajmniej do inspiracji filozofią neopozytywistycznej grupy nazwanego Klubem Neopickwickistów, a także aktywnym dyskutantem na spotkaniach młodych socjologów skupionych wokół Czesława Czapowa (1925-1980) – twórcy war-

szawskiej szkoły resocjalizacji, a następnie Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie studiów zarabkował jako szkolny bibliotekarz, brał również udział w pracach zespołu Instytutu Badań Literackich PAN, przygotowujących *Słownik terminów literackich* (ostatecznie niewydanego).

Po ukończeniu studiów w roku 1952 zatrudnił się w Państwowym Instytucie Wydawniczym jako redaktor, od 1955 kierując Redakcją Klasyków Literatury Polskiej Okresu po 1863 Roku. Usunięty z pracy w 1960 roku, po wygłoszeniu na zebraniu grupy literackiej „Przedmieście” referatu o ideologii przedwojennego skrajnie prawicowego ugrupowania ONR-Falanga. Przywódca tego ugrupowania, Bolesław Piasecki, był po wojnie przewodniczącym Stowarzyszenia PAX i członkiem Rady Państwa. Możliwe, że to właśnie interwencja Piaseckiego spowodowała wyrzucenie go z PIW-u, jak też zerwania umowy wydawniczej na książkę, której fragmentem był ów wygłoszony referat. Po odejściu z PIW-u udało mu się uzyskać etat w gazecie „Gromada-Rolnik Polski”, gdzie kierował działem kultury. Ostatecznie w 1961 uzyskał wymarzone zatrudnienie w Instytucie Badań Literackich PAN, gdzie pracował 20 lat (do 1981), skąd również został usunięty z przyczyn politycznych.

Rozwijana jeszcze podczas studiów aktywność kulturalna i społeczna oraz nawiązane wówczas przyjaźnie i znajomości sprawiły, że Jan Józef Lipski znalazł się w 1955 r. w gronie pierwszych członków warszawskiego Klubu Krzywego



Jan Józef Lipski (1926-1991)

Koła, będącego w tym czasie jedną z nielicznych enklaw zapewniających względną swobodę dyskusji (względna, bo działalność KKK była od początku kontrolowana przez SB). Szczególnie intensywnie uczestniczył w pracach KKK w gorącym okresie października 1956 roku, biorąc udział w debatach politycznych i wygłaszając referat o konieczności zmian ordynacji wyborczej. W tym czasie związał się również z czołowym organem prasowym młodych zwolenników polityczno-społecznych reform, tygodnikiem „Po prostu”, w Klubie Krzywego Koła w styczniu 1957 roku wybrano go na prezesa zarządu. Po zakończeniu kadencji w 1958 roku pozostawał w kręgu jego liderów aż do jego zamknięcia, decyzją władz w początkach 1962 roku.

Od lat 60. Lipski inicjował, współorganizował i włączał się we wszystkie ważniejsze akcje opozycyjne, zwłaszcza w środowisku intelektualistów. W 1964 roku był współinicjatorem słynnego *Listu 34* pisa-

rzy i uczonych w obronie wolności słowa; w 1968 roku – współorganizatorem Nadzwyczajnego Walnego Zebrania Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, na którym uchwalono rezolucję protestującą przeciwko zdjęciu z afisza Mickiewiczowskich *Dziadów* w reżyserii Kazimierza Dejmka; w 1975 roku – jednym z inicjatorów protestu (*List 59*) przeciwko projektowanym zmianom w Konstytucji. Odgrywał jedną z głównych ról w działaniach utworzonego we wrześniu 1976 roku Komitetu Obrony Robotników. W styczniu 1978 był jednym z inicjatorów, a następnie wykładawców Towarzystwa Kursów Naukowych.

Po sierpniu 1980 roku zaangażował się w działania NSZZ „Solidarność”, m.in. jako ekspert w negocjacjach nad ustawą o cenzurze i w pracach nad programem Związku w dziedzinie kultury i nauki. W czerwcu 1981 roku wybrano go do zarządu NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze. Był delegatem na I Krajowy Zjazd Związku w Gdańsku-Oliwie. Po ogłoszeniu stanu wojennego dostał się do strajkujących Zakładów Mechanicznych „Ursus”, gdzie po stłumieniu strajku został aresztowany. W związku z zagrażającą życiu chorobą serca jego sprawę wyłączono z procesu przywódców strajku. W czerwcu 1982 roku dostał pozwolenie na wyjazd na badania i leczenie do Londynu, skąd wrócił we wrześniu tegoż roku na wieść o przygotowywanym procesie działaczy KOR-u. Po powrocie został aresztowany, umieszczony w szpitalu więziennym, a potem pod nadzorem w klinice kardiologicznej w Aninie. Ostatecznie zwolniony został w grudniu 1982 roku.

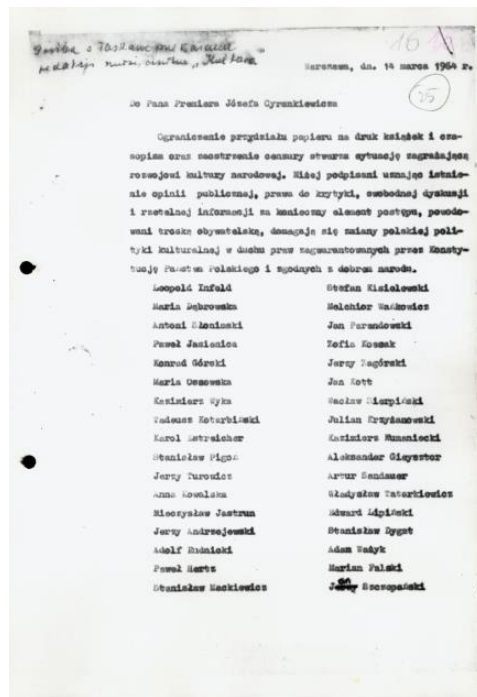
Współpracując po 1982 roku z podziemnymi strukturami „Solidarności”, Jan Józef Lipski kontynuował jednocześnie rozpoczęte jeszcze w latach 70. działania, mające na celu reaktywowanie w kraju Polskiej Partii Socjalistycznej, do czego doprowadził w listopadzie 1987 roku i zo-

stał jej przewodniczącym. Niestety, wkrótce doszło w PPS do rozłamu. W 1990 był jednym z inicjatorów i współorganizatorem Kongresu Zjednoczeniowego PPS w kraju i na emigracji, gdzie został wybrany przewodniczącym Rady Naczelnej, a Lidia Ciołkoszowa honorową przewodniczącą.

Ze względu na swoje zaangażowanie w PPS-ie nie chciał uczestniczyć w obradach Okrągłego Stołu, jednak zgodził się kandydować w czerwcu 1989 r. z listy Komitetu Obywatelskiego do Senatu w okręgu radomskim. Po brudnej kampanii wyborczej (jego głównymi oponentami byli bowiem koledzy z listy, tzw. „prawdziwi Polacy” – działacze Solidarności, ściśle związani z radomskim Klubem Inteligencji Katolickiej oraz tamtejszym biskupem) – uzyskał mandat w drugiej turze wyborów.

W działalności senatorskiej niejednokrotnie przeciwstawiał się postulowanym przez większość senacką projektom o charakterze nacjonalistycznym i klerykałnym, np. w dyskusji o edukacji narodowej domagał się poszanowania mniejszości narodowych (ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej) i ich prawa do nauki w językach ojczystych, a w dyskusji o zmianie godła ostro sprzeciwił się propozycji Ryszarda Bendera umieszczenia krzyża w koronie orła. Był również sceptyczny (razem z Karolem Modzelewskim) względem tzw. planu Balcerowicza, przewidując jego negatywne skutki społeczne.

Mimo zaangażowania w działalność polityczną był Lipski nieustannie czynny jako historyk literatury, edytor, bibliograf i krytyk literacki, a także autor esejów historycznych i publicysta oraz aktywny uczestnik konferencji naukowych. W 1967 roku ukazała się drukiem jego praca doktorska *Twórczość Jana Kasprowicza. W latach 1878-1891*, a w roku 1975 jej tom drugi – *Twórczość Jana Kasprowicza. W latach 1891-1906*, będący rozprawą habili-



List 34

tacyjną. Mimo uzyskanych pozytywnych, wręcz entuzjastycznych recenzji, m.in. od wybitnego znawcy okresu prof. Henryka Markiewicza, z powodów politycznych nie została jednak wówczas zatwierdzona; zatwierdzenie uzyskała dopiero w 1981.

W 1973 ukazała się w PIW opracowana przez niego dwutomowa antologia felietonu prasowego *Warszawscy „pustelnicy” i „bywalscy”*. Liczne szkice, artykuły i recenzje Lipski publikował (w okresach, gdy nie był objęty całkowitym zakazem druku) w książkach zbiorowych oraz czasopiśmie, takich jak „Współczesność”, „Życie Literackie”, „Twórczość”, „Dialog”, „Pamiętnik Literacki”, jak również w ukazujących się poza cenzurą periodykach i niezależnych oficynach. Wybory tych tekstów w formie książkowej zostały po raz pierwszy wydane przez Instytut Literacki w Paryżu w 1987 roku w *Szkicach o poezji*, jak też w przygotowanym przez autora, a wydanym pośmiertnie w 1992 r. tomie *Tunika Nessosa*. W ramach pracy w IBL opraco-

wywał m.in. bibliografie Stefana Żeromskiego, Juliana Tuwima, Andrzeja Struga, Benedykta Chmielowskiego.

Jednym z głównych wątków, który przewija się w politycznej publicystyce Lipskiego, była obawa przed nacjonalizmem, którego był przeciwnikiem. W jego życiu nacjonalizm pojawiał się w kilku odsłonach. W okresie międzywojennym, gdy jako dorastający młodzieniec na własne oczy widział działania bojówek oenerowskich pod dowództwem Bolesława Piaseckiego, wysuwających hasło budowy „katolickiego państwa narodu polskiego”. W czasie wojny w postaci ludobójstwa organizowanego przez okupantów hitlerowskich. W Polsce Ludowej, kiedy to PZPR, głosząca hasła wolności i sprawiedliwości społecznej, usprawiedliwiała rządząca totalitarne szlachetnym celem budowania sprawiedliwego ustroju społecznego, ujawniła w marcu 1968 swoje nacjonalistyczne i antysemityczne oblicze. Ówczesna nacjonalistyczna i antysemityczna polityka partii spotkała się m.in. z aprobatą Stowarzyszenia PAX, jak też z wielce wymownym milczeniem, a tym samym brakiem sprzeciwu ze strony hierarchii kościelnej. Również narastający nacjonalizm połączony z klerykalizmem i antysemityzmem widział w „Solidarności”, i to już w jej początkach, a wiązał przecież z tym ruchem nadzieję na głębokie przeobrażenia w życiu politycznym Polski. Swoje obawy w tym związane wyraził m.in. w eseju *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków* z 1981 roku. Eseju, który spotkał się z ostrą krytyką zarówno władz PRL, jak i wielu działaczy Solidarności. Tekst ten, jeśli wziąć pod uwagę coraz silniejszy w obecnej Polsce nurt nacjonalistyczny, ksenofobiczny i antysemityczny, nie stracił na aktualności i jest dostępny m.in. na stronie Otwartej Rzeczypospolitej <https://www.otwarta.org/>.

Jan Józef Lipski związał się z wolnomularstwem praktycznie od samego początku, gdy to odrodziła się w ścisłej konspiracji 12 lutego 1961 roku loża „Kopernik” (szerzej o tym pisałem w 91 numerze FMW). Członkowie założyciele: Mieczysław Bartoszkiewicz (1884-1964), Aleksander Lutze-Birk (1878-1974), Tadeusz Gliwic (1907-1994), Józef Roliński (1889-1962), Erazm Samotyha (1886-1963), Marian Henryk Serejski (1897-1975), Jan Wolski (1888-1975) i Stefan Zbrożyna (1892-1971), zdawali sobie sprawę z tego, że mają swoje lata i aby loża przetrwała, a w raz z nią polska masoneria, musi nastąpić napływ młodszego pokolenia. Zapewne jeszcze przed jej reaktywacją zaczęto rozglądać się za ewentualnymi adeptami. Naturalnym środowiskiem do ich pozyskania był Klub Krzywego Koła.

Niemożliwym jest dzisiaj ustalenie, czy to była osobista decyzja Jana Wolskiego, czy też nastąpiło to w porozumieniu z przyszłymi założycielami loży, że to właśnie Wolski – a nie Stefan Zbrożyna (obydwaj byli uczestnikami spotkań KKK) – zaczął prowadzić rozmowy z liderami Klubu w sprawie ich ewentualnego przystąpienia do wolnomularstwa. To właśnie Wolski, jak wynika z zapisków samego Lipskiego (w tzw. „Diariuszu”) był tym, który namówił go do wstąpienia do loży.

Diariusz to są dosyć szczegółowe dzienne zapiski, które Lipski prowadził przez trzynaście lat, od lipca 1954 do lutego 1967, prowadzone na luźnych kartkach. Duża część tych notatek, głównie z lat 1962-1967, została przez niego świadomie zniszczona, gdy został w lutym 1967 zatrzymany przez SB. Ocalałe fragmenty są w posiadaniu rodziny. Część z lat 1954-1957 ukazała się drukiem w 2010 r. w opracowaniu jego biografą Łukasza Garbala, ze wstępem Andrzeja Friszke. Fragmenty, bez zgody spadkobierców, opubli-

kował w 1996 r. „Przegląd Tygodniowy”, a w 2009 „Newsweek Polska”.

Jan Wolski był teoretykiem, inicjatorem i jednym z ważniejszych działaczy spółdzielczości pracy w Polsce, i to od czasów przed I wojną po okres po II wojnie. Współpracował z Edwardem Abramowskim. Był ideowym anarchosyndykalistą i wolnomularzem z długoletnim stażem, inicjowanym jeszcze w latach dwudziestych XX w. W latach 1935-1938 Wolski piastował godność Sekretarza loży „Kopernik”, a po jej reaktywacji w 1961 r. – Mówcy.

Rozmowy z Lipskim, rozpoczął Wolski w połowie 1960. Początkowo z nim samym, a później dołączyli, zasugerowani przez Wolskiego: Aleksander Małachowski (1924-2004) oraz Mieczysław Sroka (1929-2016), reżyser, scenarzysta, edytor wydanych w 1970 r. dwutomowych listów Stanisława Brzozowskiego, będący w owym czasie w ścisłej grupie, która kierowała Klubem. Nie od razu Lipski przystał na propozycję Wolskiego, nastąpiło to po kilku miesiącach. Można przypuszczać, że wynikało to z jego zaangażowania w działalność KKK, a był to okres, kiedy już się czuło, że los tego dyskusyjnego forum jest przesądzony. Tak się zresztą stało – KKK został rozwiązany w lutym 1962 r.

W tydzień po reaktywacji loży – 19 lutego 1961 – ma miejsce inicjacja Lipskiego. Po przyjęciu do loży przyjął jako swoje imię zakonne „Konstanty Orbaczewski”, na cześć babki ze strony ojca, Konstancji z Orbaczewskich, która wywarła wpływ na jego wychowanie. Razem z Lipskim zostaje inicjowany Małachowski, który przyjął jako imię zakonne „Aleksandrowicz”, oraz Sroka. Rok później (9.01.1962) uzyskuje stopień Mistrza i w tym samym roku zostaje wybrany Czcigodnym (Przewodniczącym) loży „Kopernik”. Godność Przewodniczącego pełni nieprzerwanie przez 20 lat do 1981 r., jak też latach 1986-1988. W 1988 z obawy przed zdekonspiro-



Grób Jana Józefa Lipskiego na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie

waniem loży zawiesił czasowo swoją aktywność wolnomularską. Związane to było z jego zaangażowaniem w odbudowę PPS, a tym samym ze wzmożoną inwigilacją ze strony SB. Dla ówczesnej władzy wszelkie inicjatywy opozycyjne z lewej strony były zwalczane z większą zaciekłością niż pozostałe aktywności opozycyjne.

Niektórzy historycy, w tym jego biograf Garbał, uważają, że przystąpienie Lipskiego do masonerii było jedynie przykrywką do opozycyjnej działalności politycznej, i że traktował ją jako kontynuację aktywności w Klubie Krzywego Koła. Inaczej to widzą wolnomularze, a szczególnie ci, którzy mieli możliwość zetknąć się z nim w trakcie prac lożowych. Z ich relacji wy-

nika, że Lipski wszystkie funkcje lożowe – Czcigodnego czy Mówcy – traktował poważnie i nie piastował ich „pro forma”.

Tu wypada sprostować błędną informację, którą daje Hass w swoim *Słowniku*, a za nim inni autorzy biogramów, że Lipski w latach 1988-1990 piastował w loży funkcję Sekretarza. Według relacji Tadeusza Cegielskiego (w posiadaniu autora) nie jest to zgodne z faktami, a najprawdopodobniej wynika z błędnej interpretacji Hassa, który prowadząc kwerendę do swojej pracy rozmawiał z Tadeuszem Gliwicem i Cegielskim. Jego interlokutorzy bowiem całkowicie świadomie nie byli precyzyjni co do różnych szczegółów dotyczących członków loży.

Po wyborach w 1989 r., kiedy został senatorem, choć urlopowany spotykał się nadal w loży. Ostatnie takie spotkanie miało miejsce w maju 1991, tuż przed jego wyjazdem na operację kardiologiczną do Londynu.

Lipski był inicjatorem lożowych dyskusji nad znaczeniem podstawowych pojęć masonerii, takich jak wolność, braterstwo, tolerancja. Tematy te były przedmiotem wielomiesięcznych prac, naświetlających je z różnych stron. W trakcie prac unikał bezpośrednich odniesień do polityki, co jest zresztą zgodne z wolnomularskimi zasadami, które zakazują podejmowania zagadnień odnoszących się do polityki jak i religii, uznając, że są to kwestie wyłącznie osobiste, które nie mogą mieć wpływu na funkcjonowanie loży.

Jan Józef Lipski zmarł 10 września 1991 w Krakowie. Przyczyną zgonu były komplikacje pooperacyjne, leczone najpierw w klinice w Aninie, a później w klinice krakowskiej, kierowanej przez prof. Antoniego Dziatkowiaka.

Pogrzeb odbył się 14 września na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. W ceremonii uczestniczyło liczne grono wolnomularzy. Jak podaje Tadeusz Cegielski (nota bene ostatni inicjowany w okresie

konspiracyjnej działalności loży w 1987 r. i zaproszony do niej osobiście przez Lipskiego), stosownym wspomnieniem pożegnał Lipskiego Tadeusz Gliwic, a na mogile w imieniu loży została złożona wiązanka z czerwonych róż. W wolnomularstwie kolor czerwony jest symbolem wiedzy duchowej – wewnętrznego ognia i poznania, podkreśla znaczenie życia i spełnienia, oraz miłości.

Śmierć Lipskiego nastąpiła w okresie, kiedy rozpoczęły się prace nad restytucją Wielkiej Loży Narodowej Polski, a funkcjonująca wówczas loża Kopernik nie miała jeszcze wypracowanego rytuału tzw. „loży żałobnej” (zebrania lożowego o uroczystym charakterze, poświęcone go pamięci zmarłego) i dlatego w tym wypadku takie spotkanie nie miało miejsca.

Zmarłemu poświęcona została natomiast znaczna część inauguracyjnego posiedzenia Wielkiej Loży Narodowej Polski w dniu 27 grudnia 1991 r., która miała miejsce w pałacyku (domu pracy twórczej warszawskiej ASP) w Dłużewie (wieś w województwie mazowieckim, w powiecie mińskim, w gminie Siennica). Wówczas to Aleksander Małachowski w niezwykle podniosłym i wzruszającym wystąpieniu zadedykował całą uroczystość, tak ważną dla polskiej masonerii, właśnie Lipskiemu, jako temu, którego konsekwentna i blisko trzydziestoletnia praca lożowa przyczyniła się do odrodzenia polskiego wolnomularstwa.

Osoba Lipskiego jest ceniona i przywoływana na spotkaniach lożowych i to niezależnie od przynależności obediencyjnej. Szkoda jednak, że jak na razie (do marca 2026) żadna z rodzimych łóż nie nazwała się jego imieniem.

Na koniec parę słów o życiu rodzinnym. Miał dwie siostry: Zofię (1919-2016), po mężu Celińską, ekonomistkę, oraz Marię (1930-2017), po mężu Dmochowską, polityczkę. W 1951 poślubił Marię Stabrowską (1928-2016), polonistkę. W 1953

urodził się syn Jan Tomasz, socjolog i publicysta, a w 1955 r. córka Agnieszka, psycholog. Siostrzeńcami jego są Andrzej Celiński (socjolog i polityk) oraz Piotr Dmochowski-Lipski (specjalista w branży mediów elektronicznych, telekomunikacji i polityki satelitarnej); a jego zięciem jest Wojciech Onyszkiewicz (historyk, działacz harcerski).

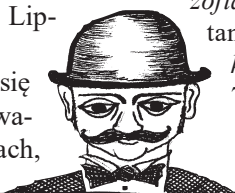
W 1991 Lipski został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, a w r. 2006 Orderem Orła Białego. Jego osoba jest upamiętniona m.in. poprzez organizowany przez stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita od 1995 r. konkursu prac magisterskich, którego jest patronem; jego imieniem nazwano w 1999 r. ulicę na warszawskim Mokotowie, a w 2016 ulicę w Radomiu; w 2018 odsłonięto tablicę pamiątkową na domu przy ul. Konopczyńskiego 4a w Warszawie, w którym mieszkał razem z żoną Marią. Od 2000 roku działa, założone przez Jacka Kuronia stowarzyszenie Uniwersytet Powszechny im. Jana Józefa Lipskiego w Teremiskach.

Postać Lipskiego doczekała się obszernej i dobrze udokumentowanej biografii i to w dwóch wersjach,

popularnej oraz naukowej, której autorem jest Łukasz Garbal: *Prezydent opozycji. Krótka biografia Jana Józefa Lipskiego*, Warszawa 2017 oraz *Jan Józef Lipski. Biografia źródłowa*, t. 1–2, Warszawa 2018, oraz dokumentacji jego tekstów opracowanych przez Jadwigę Kaczyńską *Jan Józef Lipski. Monografia bibliograficzna*, Warszawa 2001. Jest również bohaterem dwóch filmów dokumentalnych: *Jan Józef Lipski* (TVP 1993) oraz *Podstuchane życie* (TVP 2009). □

Wykorzystano:

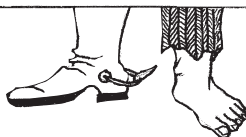
Tadeusz Cegielski, *Wolny Mularz, Autoportret*, Warszawa 2022, Łukasz Garbal, *Obudzenie łoża „Kopernik” w 1961 w Warszawie w świetle nowych dokumentów*, „Przegląd Historyczny” 2014 z. 2; te goż *Prezydent opozycji. Krótka biografia Jana Józefa Lipskiego*, Warszawa 2017; Ludwik Hass, *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny*, Warszawa 1999; Andrzej Nowicki, *Filozofia Masonerii*, Warszawa 2022; Kajetan Puszek, *Konspiratorzy z ulicy Leżarskiej*, „Wolnomularz Polski” nr 72/ 2017.



POGODA DUCHA

Któregoś dnia Sokrates zaprosił do domu bogatych ludzi. Kiedy Ksantypa wstydziła się, że przyjęcie będzie zbyt skromne, uspokoił ją mówiąc:

- Nie martw się. Jeżeli są to ludzie rozsądni, będą zadowoleni z tego, co otrzymają, jeżeli zaś będą to pospoliccy głupcy, to nie warto się nimi przejmować.



DANUTA STOLAREK

АЛЖИР

Po rosyjsku tak brzmi nazwa pięknego kraju w Afryce Północnej. Niestety, dla skazanych z artykułu 58 wiało grozą. Jest to skrót (skrót) Akmolińskiego Łagru dla Żon Zdrajców Ojczyzny (Акмолинский лагерь жен изменников Родины). Był to nowo utworzony obóz w Karagandyjskim systemie obozów pracy.

W całym ZSRR były 953 obozy, tworzyły swoisty system dla różnych kategorii więźniów. Nie byli to tylko obywatele ZSRR. Swoistą republiką łagrową został Kazachstan, w którym funkcjonowały cztery największe obozy. W latach represji zesłano tam oficjalnie ponad pięć milionów więźniów. W latach trzydziestych kolektywizacja, głód i represje wobec zamieszkujących Kazachstan rodowitych Kazachów i ponad dwustu tysięcy przedstawicieli innych narodowości zamieszkujących rozległe stepy tego kraju doprowadziły do wyniszczenia ponad 70% populacji i radykalnie zmniejszyły gęstość zaludnienia.

Odkryte bogate złoża mineralne wymagały taniej siły roboczej. Zaistniała pilna konieczność uzupełnienia deficytu ludzi. W całym Kazachstanie zesłano ponad 5 milionów więźniów, w całym ZSRR różnym represjom poddano prawie 40 mln osób. Oprócz tego były specjalne domy dziecka, w których umieszczano dzieci z piętym „członek rodziny zdrajcy ojczyzny”. Trafiały tam dzieci powyżej trzeciego roku życia. Powyżej piętnastego roku życia stosowano inne kryteria i specjalne obozy wychowawcze. Stalin wprowadził odpowiedzialność karną dla dzieci powy-

żej dwunastego roku życia (traktowano ich jak dorosłych przestępców). Dzieci zostawały poddawane swoistej „resocjalizacji”. Dla większości z nich była to bolesna trauma, tak jak dla ich matek.

Oficjalne dane różnią się od ustalonych przez Stowarzyszenie „Memorial”. Każda republika ZSRR miała ustalone limity, ilu wrogów ludu należy aresztować i deportować do obozów. Słynne „trojki” wysyłały wzory protokołów przesłuchań i wyroków. Skazany tylko miał podpisać, rzadko miał możliwość przeczytać, nigdy nie mógł mieć zastrzeżeń. Do Kazachstanu deportowano m.in. ponad 100 tysięcy Polaków. Oficjalnych danych brak, ponieważ w latach pięćdziesiątych wiele dokumentów zniszczono, a archiwa NKWD do tej pory są utajnione. Źródłem wiedzy pozostają notatki Jeżowa „o wykonaniu planu”, przekazywane Stalinowi.

Można się zastanawiać skąd się wzięło tyle skazanych kobiet? 15 sierpnia 1937 roku komisarz ludowy ZSRR Nikołaj Jeżow podpisał zarządzenie „O represjonowaniu żon i rozlokowaniu dzieci skazanych «zdrajców Ojczyzny»”. NKWD zlecono pilne aresztowanie żon skazanych za szpiegostwo, zdradę ojczyzny i członków organizacji prawicowo-trockistowskich. Zabierano wszystkie za wyjątkiem kobiet w ciąży, osób w podeszłym wieku i cierpiących na choroby zakaźne.

Dlaczego stany pozawałowe czy gruźlica nie powstrzymywały aresztowania? A skąd się wzięły kobiety ciężarne, które rodziły w więzieniu, w celach etapowych po czasami półrocznym pobycie w więzieniu?



Kompleks Pamięci poświęcony ofiarom represji politycznych, znany jako "ALZHIR", to rozległa konstrukcja na świeżym powietrzu położona około 40 kilometrów od Astany w Kazachstanie

Osoby niearesztowane musiały podpisać zobowiązanie do nieopuszczania miejsca zamieszkania. Dokonywano rewizji zarówno osoby zatrzymanej, jak i całego mieszkania. Skrupulatnie sporządzano opis zawartości mieszkania, od mebli po inne przedmioty mające jakąś wartość.

Aresztowana mogła zabrać tylko odzież, bieliznę osobistą, obuwie na zmianę i przybory toaletowe. Jeśli w domu były dzieci poniżej czterech lat, jedno mogła zabrać ze sobą. Należało zabrać niezbędne rzeczy dla niego. Mieszkanie plombowano.

Drugie dziecko trafiało do specjalnego domu dziecka, już w wieku 4 lat zostawało więźniem. Przed domem, jeśli czekały dwa samochody, do jednego wsiadała kobieta i jechała do więzienia, a dziecko do sierocińca. Jeśli był jeden samochód, dziecko zabierano po drodze do specjalnego sierocińca. Kontakt z dzieckiem urywał się na wiele lat, czasami na zawsze.

Nie udzielano żadnych wyjaśnień, dawano tylko do podpisania dokument z przyznaniem się do działalności kontrrewolucyjnej, a nawet przyznaniem się do planowania zamachu na Stalina.

Były też przypadki zwabiania kobiet podstępem na Łubiankę, np. telefon z atelier do przymiarki, albo umożliwienie jej widzenia z aresztowanym mężem. Kobiety starały się ubrać elegancko, nawet zimą zakładały szpilki, eleganckie suknie, kapelusze. Tam kazano im czekać na doprowadzenie aresztowanego, później trafiały do celi i po licznych przesłuchaniach w tym stroju jechały na zesłanie w wagonie towarowym. Na przykład aktorka kina niemego Lidia Frenkiel przyjechała w eleganckim płaszczu przesyconym perfumami Chanel nr 5 i w modnym kapeluszu.

Później w styczniowym mrozie (w Kazachstanie nierzadko 45-stopniowym) pokonywały 33 kilometrową trasę od stacji do obozu. W więzieniu zaczynała się seria

przesłuchań i tortury. Przedmioty skonfiskowane po rozdzieleniu między enkawudzistów trafiały do specjalnych sklepów w Moskwie, Leningradzie i innych miastach. Mieszkanie otrzymywał nowy lokator z klucza NKWD. Po odbyciu kary zwolnione kobiety nie miały dokąd wrócić.

Kobiety często nie wiedziały o aresztowaniu mężów, synów czy ojców. Zwykle mówiono im wysłaniu w długoterminową delegację. Wiedziały tylko te, których bliskich zabierano z domu. Nie rozumiały, co oznacza zwrot „aresztowany bez prawa korespondencji”, co okazywało się rozstrzelaniem już na etapie przesłuchań. Ale o tym, co oznaczało to sformułowanie, dowiedziały się dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Dlatego niektóre długie lata walczyły o zwolnienie już od dawna nieżyjących.

Przedsmak przyszłego losu poznawały już więzieniu. Były poddawane okrutnym przesłuchaniom, musiały przyznać się nie tylko do swojej winy, ale wyjaśniać, dlaczego nie doniosły o przestępczej działalności członka rodziny; co traktowano jako współudział w ich „zbrodniach”. Przesłuchania zwykle trwały 8-10 godzin. Śledczy się zmieniali, kobiety sadzano na wysokich krzesłach, aby nogami nie mogły sięgać do podłogi, nie wolno było plecami dotykać oparcia krzesła. Nogi puchły tak, że po przesłuchaniu kobiety padały, nie dawano im nic do picia. Śledczy popijali kawę czy herbatę, jedli kanapki i patrzyli na wyraz twarzy zgłodniałych więźniarek. Często stosowali tortury, niektóre kobiety były wleczone na przesłuchania, a nawet wnoszone. „Przyznanie się do winy” złożone podczas tortur stanowiło podstawę do zesłania do łagru. Uroda młodych kobiet bywała ich przekleństwem. Najczęściej były gwałcone przez przesłuchujących enkawudzistów.

Wyroki nie zależały od zeznań kobiet, a od tego, jaki był los ich mężów. Dla

tych członków rodziny, których rozstrzelano, wyrok brzmiał: 8 lat. Dla tych, którzy odbywali karę więzienia w zależności od wyroku – 3 lub 5 lat. Niestety, za niektóre naruszenia regulaminu łagrowego dodawano kolejne lata; ogólny wymiar mógł być nawet 15 lat. Wszystkim do akt pisano litery „TFT” (тяжёлый физический труд) – ciężka praca fizyczna.

Pierwszy transport kobiet (318) przybył do Akmołińska 9 stycznia 1938 roku. Podróż w wagonach towarowych z piecykiem (tzw. „tępluszka”) do Akmołińska trwała dwa miesiące. Do takiego wagonu upychano po 70 kobiet, niektóre z niemowlętami, inne z dziećmi do lat trzech. Wiele dzieci umierało z pragnienia i niedożywienia, głodne kobiety nie miały pokarmu, 23 konwojowane kobiety zmarły w czasie transportu. Racje żywieniowe były na granicy przetrwania, wody do picia nie dawano, kiedy kobiety się domagały – polewano je wężem z zimną wodą, niezależnie od pory roku.

Konwojenci prześcigali się w okrucieństwie. Do piecyka w wagonie nie dawano drewna, toaletą było wiadro w kącie wagonu. Zmarłych w drodze wyrzucano z wagonu na kolejnej stacji i zakopywano na poboczu torów. Nigdy nie udało się znaleźć miejsc takich pochówków. Odległość od najbliższej stacji kolejowej do obozu (33 km) kobiety musiały odbyć pieszo, nie było jeszcze nitki prowadzącej do obozu. Były przedstawicielkami 62 narodowości. Łącznie z Moskwy wysłano ponad 3 tysiące kobiet, z Leningradu 1500, pozostałe pochodziły z różnych republik zgodnie z narzuconym limitem aresztowań.

Obóz Karagandyjski (nazywany w skrócie Karłag) utworzono w 1930 roku i na jego bazie tworzone kolejne oddziały. Na początku 1936 r. zaczęto budowę baraków dla obozu dziecięcego, ale w sierpniu 1937 r. zmieniono decyzję i rozpoczęto przygotowania do stworzenia specjalne-



Inscenizacja w muzeum pokazująca odbieranie dzieci matkom

go obozu dla kobiet – „członków rodziny zdrajców ojczyzny”.

Istniały już trzy obozy żeńskie, w różnych regionach ZSRR dla poszczególnych kategorii przestępstw. AŁŻYR utworzono na podstawie decyzji NKWD z 3 grudnia 1937 roku. Był początkowo nazywany punktem 26 systemu Karłagu. Zajmował powierzchnię ponad 30 hektarów i był przeznaczony wyłącznie dla kobiet z wyrokiem z art. 58 (z różnymi podpunktami), dotyczącym różnych kategorii „przestępstw politycznych”.

W latach 1938-1953 (według oficjalnych danych) przez ten obóz przeszło ponad 20 tysięcy kobiet. Nie zawsze jest możliwość ustalenia narodowości zesłanych. Według oficjalnych danych Polki w liczbie 74 stanowiły 1,6% ogółu skazanych. Należy pamiętać, że po 1939 r. osoby z terenów zajętych przez Armię Czerwoną traciły obywatelstwo, narodowość wpisywano tylko pochodzącym spoza tych terenów. Poza tym adnotacja przy nazwisku –

„wybyła” – mogła oznaczać zarówno zgon jak i przeniesienie do innego obozu.

Liczby ofiar nie da się ustalić. Zimą ofiar nie grzebano, układano w stosy, do lewej ręki przyczepiano kartkę z numerem. Dopiero kiedy ziemia rozmarzła, zwłoki wrzucano do wykopanego dołu. Miejsca zbiorowych pochówków znaleziono dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych podczas prac budowlanych. Podczas całego okresu funkcjonowania obozu (według oficjalnych danych) zmarło 527 więźniarek, rozstrzelano 412, trudów podróży nie zniosło 396, natomiast 107 popełniło samobójstwa.

Trafiały tu kobiety bez wyroku sądowego, tylko na podstawie rozporządzenia NKWD nr 00486 z dnia 15 sierpnia 1937 roku. Tylko za to, że były żonami, siostrami, krewnymi (nawet byłymi żonami czy też teściowymi) tych, których uznano za wrogów ludu. Zesłanie było poprzedzone najczęściej półrocznym pobytom w więzieniu. Tam przy zastosowaniu tortur wymuszano zeznania obciążające tzw. „wro-

gów ludu”, którzy czasami nadal pełnili wysokie funkcje państwowe, wojskowe i inne. Stalin musiał mieć na nich „haki”. Jak stwierdziła jedna z więźniarek „za to, że niewłaściwie wybrały łóżko, w którym spały, lub stół, przy którym jadły”.

Obóz stał się symbolem tego, jak z każdej kobiety można było zrobić zakładniczkę systemu. Trafiały tu kobiety w różnym wieku, mimo przepisów ograniczających przedziały wiekowe. Najstarsza więźniarka miała 88 lat, skazana na 10 lat za to, że odmawiała modlitwę. Nie doczekała końca wyroku. Najmłodsza niespełna 19 (za „niewłaściwą” piosenkę podczas koncertu), obie za „propagandę antyradziecką”. W obozie strażnikami i komendantami byli wyłącznie mężczyźni. Na bramie obozu wisiało hasło „Dziękujemy towarzyszo wi Stalinowi za szczęśliwe życie”.

Kobiety w obozie nie miały nazwisk tylko numery na odzieży na kolanach, rękawach, plecach i na piersi. Kiedy umierały, ten numer (na papierze) był przyczepiany do lewej dłoni. Po pół wieku identyfikacja zwłok była niemożliwa, tym bardziej dzieci, których zwłoki były całkiem anonimowe. Leżały na stosach, czekając do wiosny, kiedy będzie można wykopać doły. Miejsca pochówku nie oznaczano. Dzieci zmarłe zimą wrzucano do wielkich beczek przed barakiem. Grzebano dopiero wtedy, kiedy ziemia rozmarzła. Zdarzały się przypadki, gdy wrzucano jeszcze żywe. Jedno z takich dzieci wychowała strażniczka Kazaszka i zwróciła matce po ośmiu latach, po odzyskaniu przez nią wolności.

Ciekawie przedstawia się skład społeczny więźniarek. Ponad 90% z nich miało wyższe wykształcenie, niektóre po kilka fakultetów, znały po kilka języków obcych, reprezentowały niemal wszystkie specjalności. Niestety wytyczne NKWD zabraniały wykonywania prac zgodnie z wykształceniem i zawodem. Życie obozowe i gospodarka lagrowała wносиła ko-

rektę do tych przepisów. Po aresztowaniu całego zespołu teatru operowego w Charkowie żartowano, że w obozie jest 1000 śpiewaczek i 300 pianistek. Oprócz tego zespołu były śpiewaczki i aktorki z innych teatrów z całego terytorium ZSRR.

Dużą grupę więźniarek stanowiły żony, matki i najbliższe krewnie osób powszechnie znanych i pełniących najwyższe stanowiska w państwie. Przez cały czas funkcjonowania obozu nie było żadnej próby ucieczki. Kobiety nie widziały sensu ucieczki w bezkresny, wyludniony step. Przez dwa lata miały zakaz korespondencji i otrzymywania paczek. Nie miały pojęcia, co się dzieje z pozostawionymi dziećmi, członkami rodziny.

Kilka sylwetek tych osób daje rys, spośród których członków rządu Stalin wybierał osoby, aby mieć zapewnione na nich haki i czekał na stosowny moment. Najczęściej była to tzw. „gwardia leninowska”, ale też ludzie, którzy awansowali za czasów Stalina. Mieli nie zapominać, komu zawdzięczają karierę, która z kaprysu wodza skończy się w najlepszym przypadku więzieniem.

Do najgłośniejszych nazwisk należały żony W. Mołotowa, M. Kalinina, A. Porskriobyszewa. Żona M. Tuchaczewskiego Jewdokija Goriewa w obozie spędziła 8 lat, w tym czasie przesłuchiowano ją 216 razy i zmuszano do przyznania się do szpiegostwa na rzecz Polski, pozbawiano racji żywnościowych. Kiedy nie osiągnięto efektu – została rozstrzelana. Los zesłańców nie ominął dwu siostr i bratowych oraz córki marszałka.

Znalazła się w obozie też żona A. Jegorowa (Galina Cieszkowska, Polka z pochodzenia), oskarżona o to, że szpieguje na rzecz Polski i współpracuje z ambasadą RP. Podstawą tych oskarżeń były jej wizyty na rautach w ambasadzie polskiej. Jej mąż został rozstrzelany w 1939 r. Była też żona W. Blüchera, dwie siostry J. Garmarnika, córka A. Janukidze, żona mar-

szałka S. Budionnego, L. Rusłanowa, matka B. Okudźawy, matka M. Pliseckiej. Lidia Czukowskaja, córka pisarza Korneła Czukowskiego, opisała pobyt w łagrze w powieści „Sofia Pietrowna” w 1946 r. WZSRR wydano ją dopiero w 1988 r.

Lista obejmowała nie tylko tzw. „gwardię leninowską”, ale i bliskich współpracowników Stalina, którzy popadli w niełaskę. Aresztowania nie ominęły także niemal całej elity intelektualnej i kulturalnej Kazachstanu. W obozie znalazła się też nawet synowa Stalina, Julia Melcer, żona syna Jakowa, który trafił do niemieckiej niewoli.

Stalin najzacieklej prześladował tych, którzy jego zdaniem sprzyjali L. Trockiemu. Stworzono nawet pojęcie „opozycja prawicowo-trockistowska”, do której można było włączyć niemal każdego. W obozie znalazły się też kobiety, które zdaniem organów NKWD można było uznać za „trockistów”. Nawet wdowy i kobiety rozwiedzione musiały zeznawać przeciwko byłym mężom.

Wielką grupę skazanych stanowiły kobiety reprezentujące sztukę, literaturę, różne dziedziny nauki. Nie stosowano żadnych przedawnień ani okoliczności łagodzących. Żona poety W. Bagrickiego, Lidia, po jego śmierci wyszła za mąż za człowieka niezwiązanego z polityką. Nie uchroniło ją to przed wyrokiem ośmiu lat łagru – nie doniosła na byłego męża, oskarżonego o wymyśloną działalność antypaństwową. Słynna aktorka Tatiana Okuniewska dostała wyrok 10 lat łagru, tylko za to, że nie odpowiedziała na obcesowe zaloty W. Awakumowa, wysokiego rangą oficera NKWD.

Takich ofiar było wiele. Kobiety, jako żony wrogów narodu, nie miały prawa składania żadnych skarg, a jeśli składały – traktowano to jako obrazę przedstawicieli władzy. Były karane zwiększeniem wyroku. Było wiele przypadków gwałtów podczas przesłuchań i samobójstw po prze-

słuchaniach, a ich śmierć traktowano jako wyrzuty sumienia za przestępstwa męża.

W 1941 roku do obozu trafiły żony austriackich i niemieckich komunistów, którzy pod koniec lat trzydziestych uciekli do ZSRR. Zostały uznane za niemieckich szpiegów. Również osadzone zostały tam żony i córki niemieckich osadników od dzieciństwa mieszkających w ZSRR, mimo że większość nie mówiła po niemiecku. Trafiły do tzw. „faszystowskiego baraku”, gdzie warunki były jeszcze gorsze niż dla radzieckich zesłańców.

Głodowe normy żywieniowe o jedną trzecią niższe i cięższa praca fizyczna spowodowały, że do końca wojny ze stu siedemdziesięciu kobiet przeżyły tylko 23. Pozostałe zmarły z głodu, chorób i przemocy. O warunkach życia w obozie i normach żywieniowych świadczy choćby fakt odnotowany w obozowych kartach zdrowia, że średnia waga kobiet w dniu przybycia do obozu wynosiła 58 kilogramów, a po pół roku tylko 42. Kiedy waga spadała do 35 kilogramów, kobietę zwalniano z ciężkich prac fizycznych, kierowano do lazaretu, zwanego umieralnią.

Jako niepracującej zmniejszono rację żywnościową. Jej pobyt tam trwał średnio jedenaście dni. W akcie zgonu z reguły pisano „wycieńczenie”, „dystrofia”, „gruźlica”, „szkorbut”. Akt zgonu wystawiał felczer nie oglądając zmarłej. Lata przebyte w obozie opisała niemiecka komunistka Greta Elisberg, która trafiła do obozu w 1941 r. Została zwolniona w 1945, a pamiętnik wydała w 1958 r.

Obóz w Akmolińsku początkowo miał dwa drewniane baraki i kilka pomieszczeń administracyjnych, do których upchnięto 600 kobiet. Pozostałe baraki więźniarki musiały budować same. Surowcem była glina zmieszana z sitowiem, którą kobiety miesiły gołymi nogami, dotkliwie je raniąc. Cegły ważące po 20 kilogramów przenosiły do suszenia, a później na plac budowy.

Dla więźniarek otrzymujących głodowe racje żywnościowe był to nadludzki wysiłek. Większość kobiet nigdy wcześniej nie wykonywała żadnej pracy fizycznej. Żony funkcjonariuszy partyjnych i państwowych żyły w luksusowych warunkach. Mimo, że obóz był nad jeziorem (ale za potrójnymi drutami kolczastymi), dostawały tylko jedno wiadro wody tygodniowo, które musiało wystarczyć na higienę osobistą i pranie.

Śmiertelność w systemie Karłagu była bardzo wysoka. W latach 1940-1950 zmarło ponad 10 tysięcy skazanych. Szczególnie wysoka była w 1943 r., kiedy to miesięcznie umierało ponad 100 kobiet.

W Akmolińsku w 1942 roku rozstrzelano 50 więźniarek. Wśród nich była jedna mniszka i 11 chłopek za to, że odmawiały modlitwy. Uznano to za „propagandę antyradziecką”. W 2000 r. cerkiew greko-katolicka kanonizowała je, uznając za męczennice za wiarę. Motywy rozstrzelania pozostałych są nie do końca wyjaśnione. Wiele więźniarek, nawet jak przeżyły, wkrótce umierały wskutek wyniszczenia organizmu i chorób nabytych w obozie. Jedynym lekiem w obozie była jodyna i bandaże, a więźniarki będące lekarkami nie miały prawa wykonywać zawodu.

Zakaz ten obejmował wszystkie grupy zawodowe. Na osiem tysięcy kobiet przypadał jeden felczer. Miały obowiązek wykonywać ciężką pracę fizyczną, normy były takie same jak dla mężczyzn, a racje żywieniowe niższe. Oprócz pracy przy budowie baraków musiały żąć sitowie. Normą było 20 snopów dziennie. Niezależnie od temperatury stały po kolana w wodzie. Później musiały przenieść to na plecach do obozu.

Sitowie służyło za opał, podściółkę na narach, poduszki. Koce dostały dopiero po 4 latach – jeden na dwie osoby. Nary były trzypoziomowe. Mimo że w piecyku cały czas płonęło sitowie, zimą temperatura nie przekraczała 6-7 stopni, Latem z powodu

słabo wysuszonych glinianych cegieł panowała wilgoć i trudny do zniesienia zaduch. Plagą więźniarek były wszy i szczyry.

Później obóz przeszedł na własny rachunek gospodarczy i uznano go za dochodowy. Niektórym kobietom pozwolono wykonywać pracę zgodną z ich zawodem i kwalifikacjami. Obóz stał się gospodarstwem wieloprofilowym, a specjalistów z zewnątrz nie było. Więźniarki zatrudniono przy uprawie warzyw. Ryły łopatomi rowy melioracyjne, założyły sad owocowy, posadziły krzewy owocowe – głównie porzeczki i maliny. Stąd później miejsce obozu nazwano Malinówką. Niestety, owoce i warzywa nie były przeznaczone dla więźniarek. Były one dokładnie rewidowane przy powrocie do baraków. Nawet za jedną cebulę czy marchewkę mogły trafić na kilka dni do karceru.

W latach wojny zorganizowano szwalnię. Więźniarki szyły mundury dla armii. Po wojnie, dzięki kwalifikacjom więźniarek, które potrafiły projektować, szyć i haftować odzież, sprzedawano ją w butikach w Moskwie i Leningradzie. Nie było elektryczności. Kobiety szyły przy kopających lampach naftowych. Praca w szwalni trwała 14 godzin dziennie.

Wtedy też powstał szpital obozowy. Skazane lekarki, mimo braku leków, mogły zaopiekować się chorymi.

W tych warunkach żyły także przedstawicielki niedawnej elity rządowej, towarzyskiej, naukowej, kulturalnej. Wśród nich znalazła się Rachela Messerer-Plisicka, aktorka Teatru Wielkiego, matka słynnej później tancerki Mai Pliseckiej, z bratem Azarem, półrocznym wówczas niemowlęciem. Matce pozwalano dwa razy dziennie biegać do dziecięcego baraku, aby karmić piersią. Samą Maję wówczas czteroletnią i starszego brata adoptowali siostra i brat Racheli, dzięki temu uniknęli oni obozowego domu dziecka. Znalazła się tam też Lidia Bagricka, żona poety,



Pomnik ofiar Ałżyru

po śmierci którego wyszła ponownie za mąż Brak donosu na nieżyjącego już męża przypląciła ośmioletnim wyrokiem.

Wśród więźniarek była Aszchen Nałbandian, matka poety Bułata Okudźawy. Trafiła tam w 1939 r. po aresztowaniu męża oskarżonego o trockizm. Czternastoletni Bułat pozostał sam. Po trzech latach jako ochotnik zgłosił się na front w nadziei, że pomoże matce. Niestety, musiała odbyć cały wyrok, wyszła dopiero w 1947 roku. Jak mówił poeta: „nie utraciła wiary w partię”.

Znaną więźniarką była także popularna śpiewaczka Lidia Rusłanowa. Wielokrotnie podczas wojny śpiewała dla żołnierzy. Była pierwszą wykonawczynią „Katiuży”. Śpiewała dla żołnierzy na stopniach Reichstagu po zdobyciu Berlina. Trafiła do więzienia z powodu męża, kiedy Stalin wszczął kampanię przeciwko G. Żukowowi w tzw. „trofiejskiej sprawie”. Mąż Rusłanowej generał W. Kriukow był jego przyjacielem i bliskim współpracownikiem.

W obozie była niedługo. Kiedy odmówiła śpiewania w obozowym chórze – „słowiki w klatce nie śpiewają” – natychmiast wysłano ją do więzienia o zastrzyżonym reżymie we Włodzimierzu. Wolność odzyskała dopiero po śmierci Stalina w 1953 r.

Do Akmolińska trafiły także Kira Andronnikaszwili, żona pisarza Borysa Pilniaka, Eugenia Lurie – żona Jurija Trifonowa, żona pisarza Arkadija Gajdara, żona N. Bucharina Anna Łarina, pisarka Galina Sieriebriakowa. O szpiegostwo oskarżono także śpiewaczkę operową Olgę Michajłową, żonę legendarnego marszałka, czerwonego kawalerzysty S. Budionnego, oraz reżyserkę Natalię Sac. W obozie znalazły się wszystkie kobiety z rodziny rozstrzelanego marszałka M. Tuchaczewskiego. Nie oszczędzono nawet leciwej teściowej. Wszystkie miały piętno „członkowie rodzin zdrajców ojczyzny”. Ten epitet obejmował także dzieci powyżej trzeciego

roku życia ze wszystkimi późniejszymi restrykcjami.

O tym, jak szybko spada się ze szczytów elity partyjnej i rządowej z powodu patologicznej podejrzliwości czy też kaprysu tyрана, przekonały się żony najbliższych współpracowników Stalina. W tym gronie znalazła się też Jekatierina Iwanowna, żona M. Kalinina, który w styczniu 1938 roku na sesji Rady Najwyższej został Przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Na Zachodzie był traktowany jak prezydent kraju, co nie mogło podobać się Stalinowi. Jego żona Jekatierina miała wykształcenie podstawowe, od jedenastego roku życia pracowała w zakładzie tekstylnym, była członkiem partii od 1917 r., żoną M. Kalinina została w 1906 roku, ponadto była członkiem kolegium Sądu Najwyższego.

Wydawało się, że awans męża będzie sprzyjał jej karierze. Niestety, już jesienią 1938 r. została oskarżona o działalność kontrrewolucyjną i antyradziecką. Podczas pobytu w więzieniu na Łubiance była wielokrotnie torturowana, na przesłuchania ją przynoszono. Aby uniknąć dalszych tortur, przyznała się do winy bez żadnych dowodów. Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego skazało ją na 15 lat łagru i pozbawienie praw publicznych na 5 lat.

Kalinin nigdy nie wystąpił w obronie żony, jedynie poprosił, żeby nie obciążano ją pracą ponad siły. W obozie pracowała w łaźni, do jej obowiązków należało czyszczenie odzieży skazanych z wszy i gnid. Areszt żony nie przeszkodził Kalininowi w karierze.

Dopiero w 1945 r. zmieniono jej wyrok na zesłanie. Została zrehabilitowana w 1953 roku. Po powrocie z zesłania unikała spotkania z „wszechwziewnym starostą”. Pod jej nieobecność małżonek pocieszał się towarzystwem tancerek z Teatru Bolszoj. Kalinin zmarł na raka w czerwcu 1946 r. J. Kalinina zmarła w 1960 r. w wieku 78 lat.

Inną ofiarą kariery męża została żona W. Mołotowa Perl Salomonowna Karpowska. Pochodziła z rodziny żydowskiej (później zmieniła imię, patronimikum i nazwisko na Polina Siemionowna Żemczuzina – po rosyjski *żemczug* to perła). W 1918 r. jej siostra i brat wyemigrowali do Palestyny, później brat wyjechał do USA. Utrzymywała korespondencję z siostrą. W 1921 r. wyszła za mąż za W. Mołotowa.

Od 1942 r. była we władzach Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. Pełniła wiele kierowniczych funkcji w przemyśle sowieckim. Podobno jej kobiecy sowieckie zawdzięczają perfumy „Krasnaja Moskwa”, ponieważ tworzyła od podstaw ten przemysł. W 1948 r. z okazji 31 rocznicy przewrotu październikowego była na przyjęciu dla dyplomatów. Tam spotkała się z Goldą Meir, interesowała się strukturą kibuców, przyznała się do żydowskiego pochodzenia, odwiedziły razem synagogę, w której została gorąco powitana przez Żydów moskiewskich. Na pożegnanie podobno podarowała Goldzie Meir swoje złote kolczyki. Współpracowała z przewodniczącym komitetu żydowskiego S. Michoelsem, zabitym na Białorusi w 1948 r.

Po tym, jak okazało się, że Izrael bardziej jest zorientowany na współpracę z USA niż z ZSRR, Stalin zaczął nagonkę antyżydowską. Zaczęły się represje przeciwko tzw. kosmopolitom. Żemczuzinę oskarżono o udział w „spisku syjonistycznym”.

W grudniu 1948 r. Mołotowowie rozwiedli się. Polinę wykluczono z partii. Jest kilka wersji tego kroku. Potomkowie twierdzą, że była to jej decyzja, aby chronić karierę męża. Inni, że była to jego inicjatywa, jeszcze inni, że na żądanie Stalina. Poza tym Stalin miał osobisty motyw – Polina była przyjaciółką N. Allilujewej i towarzyszyła jej w ostatnich godzinach życia.

Śmierć Allilujewej do dziś budzi wiele kontrowersji (samobójstwo czy zabójstwo dokonane przez Stalina?). Pod koniec stycznia Polinę aresztowano, a wraz z nią także jej brata, siostrę i siostrzeńca oraz wielu jej współpracowników (brat i siostra zmarli w więzieniu). Decyzję o jej aresztowaniu podejmowano na posiedzeniu Biura Politycznego, Wszyscy byli za, Mołotow wstrzymał się od głosu.

Została skazana na 5 lat zesłania. Kiedy zapytano go, dlaczego się nie sprzeciwił, odparł: „Dlatego, że jestem członkiem Biura Politycznego i obowiązuje mnie dyscyplina partyjna”. Nigdy nie interweniował w jej sprawie u Stalina, a żywił tylko pretensje do Berii o sfingowanie sprawy.

W styczniu 1953 r. znów została aresztowana i przewieziona do Moskwy na proces pokazowy, który miał się odbyć na początku marca. Na proces czekała w więzieniu. Po zakończeniu pogrzebu Stalina (9 marca) zapytano Mołotowa, co chciałby otrzymać na urodziny, odparł: „zwolnijcie Polinę”. Kiedy wezwano ją 9 marca, była przekonana, że na kolejne przesłuchanie. Powitał ją Beria słowami: „Polina, jesteś uczciwą komunistką!”.

Jeszcze nie wiedziała, że Stalin nie żyje i już odbył się jego pogrzeb – zemdląca. Różnie było to interpretowane, czy z radości z odzyskanej wolności, czy z rozpacz, że jej idol nie żyje. Do końca życia pozostała zagorzałą stalinistką.

Mołotow zarzucał jej, że nigdy nie była ostrożna w doborze znajomych. W wywiadzie na pytanie F. Czujewa: „Dlaczego represje objęły żony i dzieci?”, odpowiedział: „Co znaczy dlaczego? Powinni być izolowani, inaczej byłiby szerzycielami wszelkich skarg i narzekań. Płataliby się pod nogami. Nie ma rewolucji bez ofiar”. Została zrehabilitowana w 1956 r.

Olga Buddionna była żoną dowódcy I Armii Konnej, komisarza obrony ZSRR, marszałka ZSRR, trzykrotnego Bohatera ZSRR, członka Prezydium Rady Naj-

wyższej ZSRR. Jego pierwsza żona zginęła w 1925 roku w nieszczęśliwym wypadku (według innej wersji popełniła samobójstwo). Olę, śpiewaczkę operową, poznał w Kisłowodzku. Była znacznie młodsza od niego. Wkrótce się pobrali. Weszła w krąg elity kremlowskiej, przyjaźniła się z żoną Jegorowa, szybko zaczęła robić karierę operową. Jednakże jej sposób bycia i lekkomyślność wywoływały dezaprobatę partyjnych kręgów. Często bywała na rautach w różnych ambasadach, przyjmowała kosztowne prezenty, nie zawsze zdawała sobie sprawę z intencji darczyńcy. Bywała też na hucznych przyjęciach organizowanych przez żonę „krwawego karła” N. Jeżowa.

Budionny uwielbiał żonę, darował jej drogie futra i klejnoty. Byli bezdzietnym małżeństwem. Po jednym z przyjęć w ambasadzie polskiej w 1937 roku została aresztowana. Oskarżono ją o szpiegostwo, romans z polskim ambasadorem i próbę otrucia męża. Jednocześnie wymuszono na niej zeznania obciążające Budionnego. Stalin kazał usunąć część zeznań obciążających marszałka. Skazano ją na 8 lat, później dołożono jeszcze trzy.

Sam Budionny twierdził, że Olga nie żyje, szybko ożenił się z jej siostrą ciotecznaną. W tym związku urodziło się troje dzieci. Olę zwolniono na fali chruszczowowskiej amnestii w 1956 r. Budionny przywiózł ją do Moskwy (niewiele kobiet miało szczęście wrócić do stolicy), pomagał jej finansowo.

Tyle szczęścia nie miała Bronisława Poskriobyszewa, żona innego osobistego sekretarza Stalina, który był obok wódki po 12-14 godzin dziennie przez ćwierć wieku. Jego pierwszą żoną była Jadwiga Stankiewicz, z którą rozwiódł się w 1929 r. Wkrótce poznał Bronisławę Metallikową. Była lekarzem endokrynologiem, pracowała w Instytucie Endokrynologii w Ludowym Instytucie Zdrowia RSFR. Małżeństwem zostali w 1934 r. Jej starszy

brat (jeszcze za czasów Lenina) był szefem Lecznico-Sanatoryjnej Administracji Kremla. Bronisława z bratem często wyjeżdżali na międzynarodowe konferencje medyczne. W 1933 r. za granicą przypadkowo spotkali Lwa Siedowa, syna L. Trockiego i jego aktywnego współpracownika. Na jej nieszczęście żona brata Michaiła była rodzoną siostrą żony Siedowa.

O spotkaniu dowiedziały się odpowiednie organy, ale informację zatrzymały do 1937 r. Podczas fali represji Michaił został aresztowany za „działalność kontrrewolucyjną” i rozstrzelany. Represje dotknęły innych członków rodziny. Bronisława wielokrotnie zwracała się do NKWD o ponowne rozpatrzenie ich spraw. W 1939 r. podczas jednej z wizyt została aresztowana. Poskriobyszew poprosił Stalina o ratowanie żony, Stalin z pogardliwym uśmiechem doradził mu „znalezienie innej baby”. Bronisławę rozstrzelano w październiku 1941 r. W grudniu 1941 r. posłuszny sekretarz ożenił się z Jekatieriną Ziminą. Bronisławę zrehabilitowano w 1957 roku.

Podczas chruszczowowskiej odwilży wiele kobiet odzyskało wolność. Sam obóz ostatecznie został zlikwidowany dopiero w 1956 roku. Rehabilitacja nie objęła wszystkich kobiet. Niektóre musiały podjąć wiele starań, aby udowodnić swoją niewinność. Jeszcze trudniej było uzyskać rekompensaty. Kobiety otrzymywały dokument, w którym pisano „zrehabilitowana z powodu braku znamion przestępstwa”. Żadnych wyjaśnień ani przeprosin i niestety tzw. „wilczy paszport” z adnotacją „element społecznie niebezpieczny”; z różnymi liczbami, np. 101, 128 i inne.

Tymi numerami były oznaczone miasta, w których nie mogły zamieszkać, np. Moskwa, Leningrad, stolice poszczególnych republik, miasta portowe i nadgraniczne. Mogły zamieszkać w odległości 101 km od tych miast. Na podstawie takiego dokumentu nie mogły się zameldować,

bez meldunku nie mogły podjąć pracy. Do mieszkań zajmowanych przed aresztowaniem nie mogły wrócić, ponieważ po aresztowaniu były opieczetowane i przekazane innym lokatorom, atrakcyjne prawie zawsze enkawudzystom. Dodatkowo musiały podpisać zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy miejsca pobytu.

Dlatego wiele z nich po zwolnieniu udawało się na dobrowolne zesłanie. Wracaly na znane im stopy Kazachstanu, niektóre do Akmolińska. Znajomi z dawnych lat, nawet jak nie wierzyli w ich winę (często jednak wierzyli), często bali się kontaktów z nimi. Inni udawali, że ich nie znają. Znane są przypadki, że nawet jeśli spotykały przyjaciół z dzieciństwa czy młodości, na żadne wsparcie nie mogły liczyć. Dowiadywały się, że na zachowanych fotografiach z tych lat po aresztowaniu ich twarze były zamazywane atramentem albo wycinane.

Stalina nie było, ale system pozostał i strach nie minął. Niektóre podjęły trud znalezienia odebranych dzieci, bardzo często bezskutecznie. Adoptowane przez obcych miały nazwiska osób adoptujących, innym zmieniano je w domach dziecka. Los dzieci, które w wieku czterech lat już zostawały więźniami, to odrębna tragedia pokolenia.

Proces ten przyspieszył dopiero w czasach „pierestrojki” M. Gorbaczowa. Najwięcej rehabilitacji przeprowadzono w latach 80-90. Ostatnie rehabilitacje miały miejsce dopiero w 2003 roku. Najczęściej były to działania podjęte przez wnuków. Rekompensaty były symboliczne, wynosiły wysokość dwumiesięcznego średniego wynagrodzenia. Wiele kobiet zmarło tuż po zwolnieniu, ostatnia więźniarka zmarła w 2014 roku.

W tym okresie zaczęły pojawiać się książki dotyczące losów więźniarek obozów. Niektóre, wielokrotnie wydane za granicą, były ponownie tłumaczone na język rosyjski, ponieważ nie żyło już wie-

le autorek, a rękopisy albo zaginęły, albo z obawy o represje rodziny je niszczyły.

Historycy obliczyli, że jeśli uwzględnić liczbę osób zmarłych w ciągu 3 lat po opuszczeniu obozu, liczba ofiar osiągnęła ponad 9 tysięcy, czyli prawie połowę skazanych. Jeśli uwzględnić dzieci zmarłe w obozie i w specjalnych domach (odebrane matkom po ukończeniu czterech lat), należy do tej liczby dodać jeszcze 2300 istnień ludzkich. Średnio umierało ponad 30% dzieci urodzonych w obozie. A to tylko szacunkowe dane. Realna liczba może być znacznie wyższa, ponieważ wielu zgonów nie rejestrowano, a po śmierci Stalina w 1953 r. wiele dokumentów zniszczono.

Na mocy dekretu prezydenta Kazachstanu N. A. Nazarabajewa z 1997 roku „O ustanowieniu dnia 31 maja dniem pamięci o ofiarach represji politycznych” i 70-lecia początku masowych represji w aule Akmoł na miejscu dawnego obozu 31 maja 2007 roku został otwarty muzealno-memorialny kompleks pamięci ofiar totalitaryzmu „AŁŻYR”. Przed wejściem zostały zainstalowane znaki pamięci 14 krajów: Polski, Francji, Niemiec, Węgier, Korei, Białorusi, Gruzji, Armenii, Ukrainy, Estonii, Litwy, Łotwy, Azerbejdżanu.

Architektem był zasłużony architekt Kazachstanu S. Ż. Narynow. W muzeum zostały zebrane dokumenty, pamiątki przekazane przez potomków więźniarek. Zachowano jeden barak z numerem 26, wagon towarowy z tamtych czasów, tzw. „tiefłuszkę”. Za symbol represji uznano czerwoną gwiazdę rozdartą kratą i drutem kolczastym. Na terenie dawnego obozu przedstawiciele poszczególnych wyznań odślonili symboliczne nagrobki ofiar. Ustawiono wielkie tablice, na których wyryto imiona i nazwiska wszystkich imieniem ustalonych ofiar.

Czy nie symboliczny jest fakt, że wyraz „akmoł” po kazachsku oznacza „biały kamień?” Dla tylu ofiar okazał się nagrobnym.

* **Artykuł 58** kodeksu karnego Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej – przepis, na podstawie którego aresztowano podejrzanych o działalność kontrrewolucyjną.

Wszedł w życie 25 lutego 1927. Składał się z 14 paragrafów. Był wielokrotnie modyfikowany – w szczególności paragraf pierwszy, który 8 czerwca 1934 roku uzupełniono o listę punktów precyzujących rozumienie paragrafu. Zawierał 18 podpunktów, niektóre podpunkty precyzowały jeszcze dodatkowe akapity (np. 58.1 zawierał 5 dodatkowych akapitów). Artykuł wprowadzał pojęcie „wroga ludu”. Stawał się nim każdy, którego czyny klasyfikowano jako odpowiedzialność z paragrafów 2–13. Praktycznie wszystko można było zaklasyfikować jako przestępstwo, od opowiedzianej anegdoty do uśmiechu „w niestosownym momencie”.

*

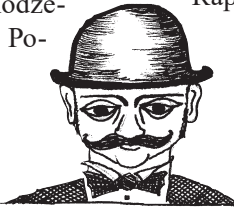
Penalizowano następujące czyny:

1. zdrada ZSRR,
2. zorganizowanie powstania zbrojnego, próba przejęcia władzy nad częścią terytorium,
3. udzielanie pomocy wrogom ZSRR,
4. udzielanie pomocy międzynarodowej burżuazji,
5. skłanianie obcego mocarstwa do wypowiedzenia wojny ZSRR,
6. szpiegostwo,
7. działanie na szkodę przemysłu, transportu, handlu, obiegu pieniężnego i spółdzielczości,
8. terror,
9. dywersja,
10. działalność propagandowa wymierzona przeciwko ZSRR,
11. rozróżnienie działalności indywidualnej od zorganizowanej (uzupełnienie do pozostałych paragrafów),
12. niedoniesienie o popełnieniu przestępstwa,
13. służba w oddziałach carskich,
14. abotaż (ekonomiczna kontrrewolucja).

Na kodeksie karnym RFSRR wzorowane były inne kodeksy sowieckich republik. □

Bibliografia

1. Anne Applebaum, Gułag, przeł. Jakub Urbański, Świat Książki 2013.
2. Eugenia Ginzburg, Stroma ściana, przeł. Andrzej Mandalian, Czytelnik 1990.
3. Gustaw Herling-Grudziński, Inny świat, Wydawnictwo Literackie 2010.
4. Mira Jakowienko, Żona enkawudzisty. Spowiedź Agnessy Mironovej, przeł. Dorota Bal, Znak Horyzont 2014.
5. Jefrosinia Kiersnowska, Ile wart jest człowiek, przeł. Wiesława Karaczewska i in., Świat Książki 2012.
6. Aleksander Sołżenicyn, Archipelag Gułag 1918-1958. Próba dochodzenia literackiego, przeł. Jerzy Pomianowski, Rebis 2015.
7. Wałam Szałamow, Opowiadania kołymskie, przeł. Juliusz Baczyński, Rebis 2016.
8. Elwira Watała, Kobiety wokół Stalina: kochanki i katorżniczki, Videograf 2014.
9. Historie kobiet z Gułagu. Dusza wciąż boli, red. Siemion Wileński, przeł. Anna Kędziorek, Wydawnictwo PWN 2011.
10. Валентина Краскова, «Серые кардиналы Кремля», Минск, серия Литература, 1998;
11. Гинзбург Е. С., Крутой маршрут: Хроника времен культуры личности. - М. Книга, 1991, 734 с.
12. Анфиса Кукушкина, Акмолинский лагерь жен «изменников Родины». История и судьбы. Монография, Караганда 2008.

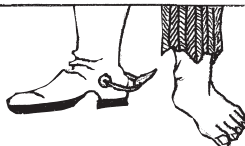


ŁAKOMSTWO

Szach i jedna z jego żon jedli owoc mango. Król królów lubił porządek wokół siebie, więc skórki kładł przed kobietą. Wkrótce zebrała się ich spora kupka.

- Patrz, jaka łakomczucha – zażartował, gdy niespodziewanie do komnaty wszedł wielki wezyr.

- Ona przynajmniej zostawiła skórki, władco świata.



W roku 2025 warszawskie wydawnictwo „Kto jest kim” zaprezentowało wybór 15 szkiców i studiów prof. dra hab. KRZYSZTOFA WOŹNIAKOWSKIEGO pt.

Międzywojenna lewica literacka. Studia i szkice

Teksty te pochodzą z lat 1975-2009, z okresu pracy Autora w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Powodem powstania tej publikacji było przypomnienie dzieła i uczczenie pamięci prof. dra hab. Mariana Stępnia, niesłusznie zapomnianego i pomijanego wśród naukowców zainteresowanych lewicowymi nurtami w dziejach literatury polskiej – szczególnie w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku.

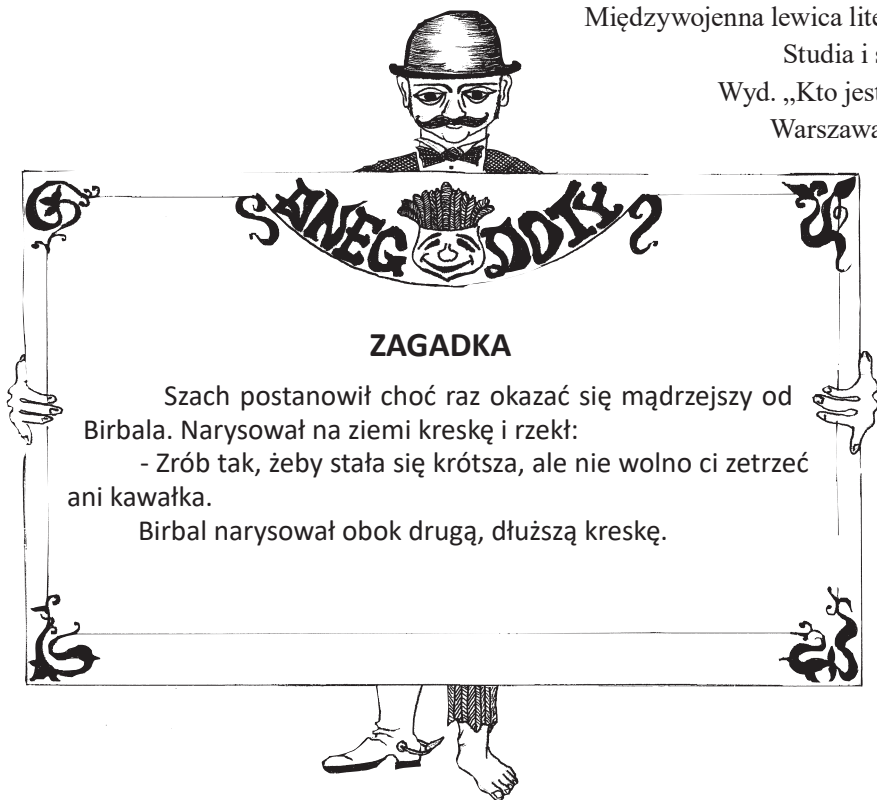
Krzysztof Woźniakowski wskazuje owo pomijanie jako zjawisko wstydlive albo co najmniej niezrozumiałe. Wszak literatura (szerzej: kultura), jak i całe życie społeczne ma prawo mieć różnego rodzaju kierunki i nurty – w tym i lewicowe. Pomijanie tego faktu jest po prostu zakłamaniem, a to nigdy nie przynosi dobrych rezultatów – nie tylko na niwie kultury.

Oczywiście, z biegiem lat oceny poszczególnych nurtów w historii polskiej kultury podlegają zmianom. Tak być musi. To naturalne. A odsyłanie części polskiej literatury w sferę niepamięci jest po prostu nieuczciwe. Profesor Woźniakowski upomina się o przyzwoitość.

Tyle i aż tyle.

P.A.

Krzysztof Woźniakowski
Międzywojenna lewica literacka
Studia i szkice
Wyd. „Kto jest kim”
Warszawa 2025



O CZŁOWIEKU, KTÓRY NA WOJNĘ PATrzyŁ Z DYSTANSU

Kto nie zna głównego bohatera powieści Jaroslava Haška „Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej”. Jego stoicki spokój wobec wojennego koszmaru, konsekwentne obnażanie idiotyzmu polityki i wojny stały się niemal symboliczne. Sam uznawany za idiotę, wobec poziomu swych dowódców, wobec doktryny wojennej państwa okazał się mędrcelem.

Z całego haškowskiego dzieła wybrałem wstęp samego autora i pozornie tylko zabawny fragment łączący wojnę z religią. A dzisiejszy kontekst powieści Haška z rzeczywistością?

No, cóż...

Piotr Augustynek

Wstęp Haška

Wielkie czasy wymagają wielkich ludzi. Istnieją bohaterowie nieznani, skromni, bez sławy i historii Napoleona. Analiza ich charakteru zaćmiłaby jednak sławę nawet Aleksandra Macedońskiego. Dzisiaj na ulicach praskich możecie spotkać steranego życiem człowieka, który sam nawet nie wie, jakie znaczenie ma w historii nowych wielkich czasów. Idzie sobie skromnie swoją drogą, nikomu się nie naprzykrza i jemu też nie naprzykrzają się dziennikarze, którzy domagaliby się od niego wywiadu. Gdybyście go zapytali, jak się nazywa, odpowiedziałby wam skromniutko i prosto: „Jestem Szwejk”.

Otóż ten cichy, skromny człowiek jest naprawdę tym starym, poczciwym wojakiem Szwejkem, mężnym i statecznym, który niegdyś za czasów Austrii był na ustach wszystkich obywateli królestwa czeskiego, a którego sława nie zagaśnie nawet w republice.

Bardzo kocham zacnego wojaka Szwejka i opisując jego losy czasu wojny światowej, mam nadzieję, że wy wszyscy będziecie sympatyzowali z tym skromnym, nieznanym bohaterem. On nie podpalił świątyni bogini w Efezie, jak to uczynił ten cymbał Herostrates, aby się dostać do gazet i do czytanek szkolnych.

To wiele.



Jaroslav Hašek

Autor

Szwejk jedzie z kapelanem odprawić mszę polową

Przygotowania do uśmiercania ludzi odbywały się zawsze w imię Boga czy też w ogóle w imię jakiejś domniemanej wyższej istoty, którą ludzkość sobie wyimaginowała i stworzyła w swej wyobraźni. Starożytni Fenicjanie, zanim poderżnęli gardło jakiemuś jeńcowi, odprawiali tak samo uroczyste nabożeństwa, jak w kilka tysięcy lat później czyniły to nowe pokolenia ludzkości przed pójściem na wojnę, w której tępiły swoich wrogów ogniem i mieczem.

Ludożercy polinezyjscy przed pożarciem swoich jeńców lub ludzi niepotrzebnych, jak: misjonarzy, podróżników, agentów handlowych różnych firm czy też po prostu turystów, składają ich na ofiarę swoim bożkom spełniając przy tym naj-

rozmaitsze religijne obrzędy. Ponieważ nie dotarła jeszcze do nich kultura ornamentów, przeto ozdabiają swoje biodra pękami pstrokatych piór leśnych ptaków.

Nim święta inkwizycja spaliła swe ofiary, odprawiała uroczyste nabożeństwa, wielką mszę świętą ze śpiewami.

A przy wykonywaniu wyroków śmierci zawsze asystują duchowni, krępując swoją obecnością skazanego.

W Prusach pastor prowadził biedaka pod topór, w Austrii ksiądz katolicki na szubienicę, we Francji pod gilotyne, w Ameryce duchowny na krzesło elektryczne, w Hiszpanii na stołek, gdzie skazany był specjalnym narzędziem duszony, a w Rosji brodaty pop odprowadzał rewolucjonistę na miejsce stracenia itd., itd.



Wszędzie też duchowni zmuszali skazańca do odbycia ostatniej pielgrzymki w towarzystwie Ukrzyżowanego, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Tobie to tylko urąbią głowę, ciebie tylko powieszą, uduszą, puszcza na ciebie piętnaście tysięcy woltów, ale co ten biedak musiał przecierpieć!...”

Wielkie jatki wojny światowej nie obe szły się bez błogosławieństwa duchownych. Kapelani wojskowi wszystkich armii modlili się i odprawiali msze święte o zwycięstwo dla tej armii, której chleb jedli. Przy egzekucjach zrewoltowanych żołnierzy zjawiał się ksiądz. Przy egzekucjach legionistów czeskich także widywało się duchownego. Nic się też nie zmieniło od owych czasów, kiedy to wielki łupieżca Wojciech, później świętym przezwany, brał udział w tępieniu i mordowaniu Słowian nadbałtyckich, dzierżąc w jednym ręku miecz, a w drugim krzyż.

Ludzie całej Europy szli jak bydłeta na rzeź, dokąd obok rzeźników-cesarzy, królów, prezydentów i innych potentatów i wodzów prowadzili ich księża wszystkich wyznań, błogosławiąc im i pozwalając fałszywie przysięgać, że „na ziemi, w powietrzu, na morzu” itd.

Dwukrotnie odprawiano msze polowe. Raz, kiedy część oddziałów odchodziła na front, a drugi raz, na froncie, przed krwawą rzezią, przed zabijaniem. Pamiętam, jak pewnego razu podczas mszy polowej samolot nieprzyjacielski zrzucił bombę w sam ołtarz polowy, a z kapelana pozostało tylko parę krwawych strzępów. Po tem pisało się o nim jako o męczenniku, ale w tym samym czasie nasze samoloty przysparzały podobnej sławy kapelanom po drugiej stronie frontu.

Mieliśmy, z tej racji niebywałą uciechę, a na prowizorycznym krzyżu, postawionym na miejscu, gdzie pochowano szczątki kapelana, pojawił się w nocy taki nagrobkowy napis:

*To, co nas spotkać może,
spadło już na ciebie.
Przyrzekłeś nam, brachu miły,
śliczny pobyt w niebie,
Niebo samo spadło dziś
na twą głowę biedną,
Zostawiając nam po tobie
małą plamkę jedną. □*



PAMIĘĆ

Kiedy Simonides zaproponował Temistoklesowi, że nauczy go sposobów usprawniania pamięci, ten odrzekł:

- Naucz mnie raczej sztuki zapominania, bo często pamiętam to, czego nie chciałbym pamiętać i nie mogę wyrzucić z pamięci tego, co chciałbym zapomnieć.

JANUSZ CZURYSZKIEWICZ

KRÓTKI TRAKTAT „O NAPRAWIE RZECZYPOSPOLITEJ”

Wkrótce nowe wybory. Znowu zacznie się kampania, wzajemne obrzucanie się błotem, obietnice wyborcze – obiecwanie złotych gór, czyli normalka. Osobiście mnie to ani grzeje, ani ziębi. Telewizji nie oglądam w ogóle – szkoda mi na to czasu, bo zostało mi go niewiele. Skończyłem w ub. roku 70 lat. Szkoda mi tylko patrzeć na to co się dzieje. Do jakiego upadku doszliśmy po latach rządów demokracji – podobno najlepszego z systemów rządzenia.

Gdzie ten wiek złoty – gdy za czasów Jagiellonów – Polska była jednym z najpotężniejszych krajów Europy. Z natury swojej – jestem monarchistą – ale to tylko tak prywatnie.

Opowiem może bajkę. Bajka będzie krótka. Na pewnej odległej planecie żyło sobie szczęśliwe społeczeństwo. Ludzie byli zamożni, szczęśliwi i wiodło im się dobrze, bo byli rządzeni przez mądrych, uczciwych i sprawiedliwych władców. Koniec bajki. Wracamy na Ziemię.

Wszyscy znamy sytuację polityczną w naszym kraju. Jedni skaczą drugim do gardeł, odsądzając przeciwników od czci i wiary. Kwitnie korupcja, spory kompetencyjne w sądownictwie, „polowanie na czarownice”. Każda grupa przed wyborami obiecuje „Złote Góry”, a potem długo tłumaczy się dlaczego nie może zrealizować obietnic. Wszyscy to znamy. Czy więc nie ma nadziei ?

Może zastosować system, o którym mówi bajka. Tam – na odległej planecie – na każdym szczeblu władzy: gminnej, powiatowej, wojewódzkiej, krajowej – władzę sprawowała Rada Siedmiu Mędrców. Trzeba tylko wybrać ludzi mądrych, uczciwych, przedsiębiorczych i sprawiedliwych. Czy takich ludzi nie ma wcale – na pewno są – tylko pytanie jak ich znaleźć. Trzeba najpierw wybrać kandydatów. Nie powinny ich typować partie polityczne, chociaż nie jest to wykluczone. Najlepiej gdyby zwykli ludzie typowali kandydatów mądrych, uczciwych, o nieposzlakowanej opinii, nie posiadających długów osobistych, w przedziale wiekowym – powiedzmy pomiędzy 45 a 65 rokiem życia. Kandydatów na każdy szczebel władzy, powinno być znacznie więcej niż siedmiu. Powiedzmy, że powinna to być grupa 100 osób (temat do dyskusji).

Nikt przed wyborami nie prowadzi kampanii wyborczej (oszczędzamy miliony złotych). Nikt nie składa żadnych obietnic wyborczych. Żadna kampania wyborcza, ani najpiękniejsze obietnice wyborcze nie mają bowiem żadnego wpływu na wynik.

Termin wyborów jest podany do publicznej wiadomości, ale nie przygotowujemy lokali wyborczych, nie tworzymy komisji wyborczych, plakatów z listą kandydatów itp. Oszczędzamy kolejne miliony złotych. W dniu wyborów zbieramy wszystkich kandydatów na jednej

sali. Jeśli ktoś nie przyjdzie – z różnych powodów – trudno – jego strata. Dajemy im do rozwiązania zwykły test IQ, czyli test na iloraz inteligencji. Jest to prosty test nie wymagający wielkich nakładów finansowych. Inteligencja wprawdzie nie jest tożsama z mądrością, ale są to pojęcia bliskoznaczne.

Siedem osób które uzyskały najlepszy wynik – staje się członkami Rady Siedmiu Mędrców. Oczywiście muszą wyrazić na to osobistą zgodę. Jeśli ktoś nie wyrazi – do Rady wchodzi następna osoba z listy. Ten kto uzyskał najlepszy wynik, zostaje przewodniczącym Rady. Rada będzie się zbierała i debatowała nad najważniejszymi sprawami swojego regionu lub kraju w ustalonych terminach. Podejmowanie decyzji odbywać się będzie drogą głosowania. Każdy członek Rady oddaje 1 głos, przy czym przewodniczący ma do dyspozycji 1,5 głosu. Chodzi o to, aby nie dochodziło do sytuacji patowej, gdy ktoś jest nieobecny, a wynik głosowania wynosi 3 – 3. Osoba która uzyskała drugi wynik otrzymuje status zastępcy przewodniczącego (warunkowo ma 1,5 głosu – gdy brakuje przewodniczącego na zebraniu). Kadencja Rady trwa 7 lat (lub 4 – temat do dyskusji). Rady nie pobiera wynagrodzenia za swoją pracę (Otrzymują tylko bezpłatne zakwaterowanie i wyżywienie na czas trwania obrad ewentualnie zwrot kosztów dojazdu).

W przypadku, gdy przewodniczący okaże się autokratą, despota – istnieje możliwość odwołania go – głosami pozostałych członków Rady. Wówczas rolę przewodniczącego przejmuje zastępca, a byłý przewodniczący staje się zwykłym członkiem Rady. Gdy któryś z członków takiej Rady umrze lub poważnie zachoruje, jego miejsce zajmuje osoba następna na liście kandydatów.

Rada zajmuje się wszystkimi sprawami jakie wynikają na odpowiednim szczeblu rządu. Tematem do dyskusji jest, czy obrady Rady powinny być otwarte dla mediów, tzn. dziennikarzy, telewizji itp. Na pewno tak – na szczeblu centralnym, gdzie decyduje się los wszystkich obywateli. Oczywiście pewne tematy np. wojskowe, wywiadowcze itp. – mogłyby być utajniane. Na szczeblu najniższym, gminnym – można by dopuścić udział osobisty mieszkańców gminy.

Członkowie Rady będą potrzebować sekretarzy, pomocników itp., którzy będą zwykłymi pracownikami i będą pobierać wynagrodzenie za swoją pracę. Będą wykonawcami podjętych przez Radę decyzji. Będą się także przed Radą rozliczać się z wykonanych zadań. W skrajnych przypadkach mogą być przez Radę odwoływani i zwalniani.

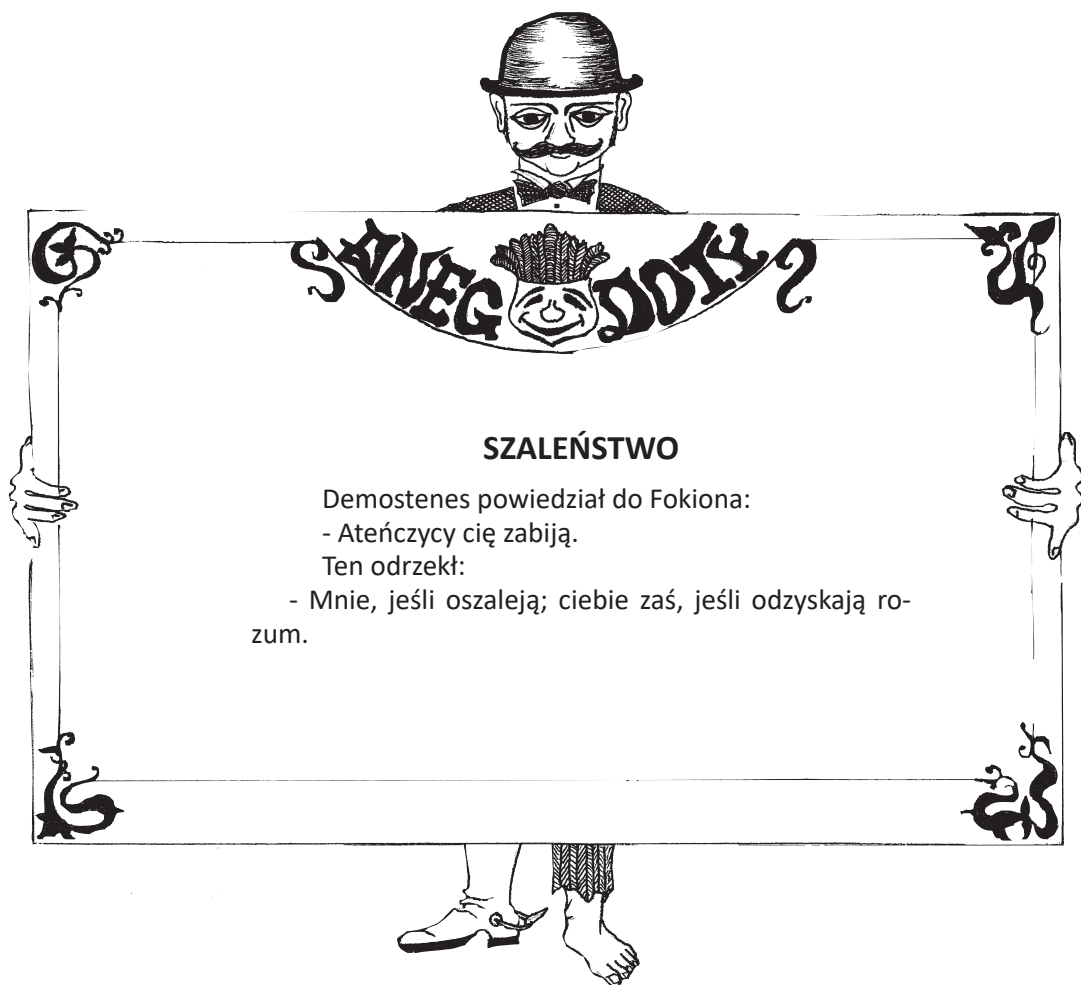
Tyle zasad ogólnych. Zastanówmy się jakie byłyby skutki wprowadzenia takiego systemu. Otóż po pierwsze upadają wszystkie partie polityczne. Przynależność do partii politycznej nie gwarantuje zupełnie wprowadzenia kogokolwiek do Rady. Decyduje tylko inteligencja kandydata, a nie przynależność polityczna. Bycie członkiem Rady nie daje żadnych profitów – jest to działalność społeczna. Zatem nikt nie pcha się do koryta – po prostu koryto zostaje zlikwidowane. Poza tym – partiom politycznym wstrzymane zostają wszelkie dotacje z budżetu – oszczędzamy kolejne miliony. Likwidacji ulega także Sejm i Senat – następne grube miliony oszczędności. To są korzyści doraźne.

Jak to wygląda w szerszej perspektywie. Polska pozbawiona balastu walczących na siebie polityków staje się jednym z najszybciej rozwijających się krajów świata. Mądre decyzje podejmowane przez mądrych ludzi, powodują wzrost

gospodarczy, wzrost zamożności ludzi. Do ludzi dociera świadomość prostej zależności jakości życia – od tego, jakich kandydatów zgłoszą przy następnych wyborach. Wzrost pozycji kraju na arenie międzynarodowej powoduje, że inne kraje próbują wprowadzić podobne systemy.

Uff. Kolejna bajka – ale jaka piękna. Żeby coś takiego zrobić – trzeba zmienić ordynację wyborczą – trzeba zmienić Konstytucję. Na to pewnie nigdy nie będzie zgody elit politycznych. Żadna władza nie da się oderwać od koryta. Czy więc nie ma żadnej nadziei?

Nadzieja zawsze umiera ostatnia. Nadzieja jest w ludziach. Bo to ludzie są Suwerenem, a nie elity polityczne. Trzeba więc ludzi zapytać. Żeby zapytać – trzeba do nich dotrzeć – temu służy ten felieton. Najlepiej byłoby zapytać ludzi np. w referendum, czy chcą rządów ludzi mądrych – wybranych spośród najmądrzejszych, czy wolą wybrać korupcję, swary i kłótnie – czyli codzienność polityczną. Niestety – organizacja referendum również leży w gestii władzy rządzącej – i koło się zamyka. □



PRZEPRASZAM, ŻE PISZĘ

Przepraszam, że leitmotiwem (motywem przewodnim) tego tekstu będą moje przeprosiny. Staram się pisać o sprawach, o których coś wiem lub chociaż zebrałem informacje. Dziś natomiast piszę trochę o polityce, na której – jak sądzę – się znam, a trochę o kobietach, co do których na pewno nie mogę tego powiedzieć. Usprawiedliwia mnie tylko to, że piszę o kobietach w polityce, w dodatku nie o wszystkich, tylko o niektórych.

Proszę więc o uwzględnienie okoliczności łagodzących – a także tego, że mógłbym opublikować ten tekst bliżej Dnia Kobiet, którego znaczenie doceniam, a wtedy byłby zapewne odebrany bardziej krytycznie. Każdy jednak, kto wypowiada się publicznie, powinien się liczyć z tym, że będzie oceniany, narażony na krytykę, również bezlitosną. Bo w polityce takiej, jaką dziś się uprawia, nie ma miejsca na litość. Uważam nie od dziś, że normy społeczne są ważne, choć normy dziś powszechne zdarza mi się kontestować. Bo z tego, że są ważne, nie wynika wcale, że są niezienne lub niepodważalne. Są potrzebne, nawet niezbędne, ale są też relatywne i podlegają zmianom.

Zmienia się też hierarchia ważności, a jest ona nie mniej ważna niż normy. W demokracji niezwykle ważna jest swoboda wyrażania swoich opinii. Nie jest to jednak norma naczelna – równie istotny jest sposób wyrażania tych opinii. Poza tym opinie oparte na faktach i wiedzy merytorycznej są (przynajmniej powinny być) przez normę społeczną chronione bardziej niż inne. Demokracja jest tak silna, jak skutecznie są egzekwowane normy. Niezbędnym elementem funkcjonowania norm są też sankcje społeczne. Zabranie głosu w debacie publicznej jest jednocześnie wyrażeniem zgody na repliki

i sankcje społeczne. Te ostanie są skuteczniejsze wtedy, gdy funkcjonuje społeczny (i polityczny) konsensus w zakresie przestrzegania norm istotnych dla demokracji.

Polityczny mainstream, a szczególnie mainstream medialny, często wyraża polityczny seksizm wobec kobiet. Oczywiście, konkretne elementy mainstreamu niekoniecznie robią to w tym samym czasie, z tych samych powodów i wobec tych samych kobiet. Przepraszam za arbitralnie wybrane przykłady. Moim zdaniem jednak ilustrują tezę.

Pewnie jeszcze niektórzy pamiętają Sannę Marin, była premier Finlandii. Wywodziła się z ludu, ale skorzystała z szansy edukacyjnej, skończyła studia prawnicze, a potem zrobiła niezwykle – to fakt – szybką karierę polityczną, która równie szybko została przerwana. Polska opinia publiczna interesowała się w zasadzie tylko wiekiem Marin, rodzicami, imprezami i wreszcie rozwodem. Nie zauważyłem w mainstreamie opinii, że premier miała prawo do swoich decyzji, ani zachwyty nad jej karierą – a przecież była to kariera bardziej spektakularna niż większość męskich. Marin podała się do dymisji po porażce wyborczej swojej partii, co nie jest częste wśród mężczyzn polityków, a już na pewno nie na polskiej scenie politycznej. Mainstream (polski) ani jej nie bronił, ani jej nie żałował, raczej odczuł ulgę, że już zniknęła.

Niejako po drugiej stronie świata politycznego mamy Giorgię Meloni, włoską premier, która też za młodu pracowała fizycznie, ale być może nie miała swojej szansy edukacyjnej, i wybrała od razu karierę polityczną. Od początku związała się z ruchami neofaszystowskimi, choć generalodzy znaleźli dalekie powiązania jej rodziny z Antonio Gramscim. Zadeklarowa-

ła się jako przeciwniczka nielegalnej imigracji, małżeństw osób tej samej płci oraz adopcji dzieci przez takie pary, podkreślała swoje przywiązanie do chrześcijańskich i rodzinnych wartości, określiła aborcję jako porażkę. Sama żyje w związku z nieformalnym, ma dziecko ze swoim partnerem. Nikt jej nie zarzuca – przynajmniej na forum politycznym – lekkiego niedostosowania własnego życia do wyznawanych politycznie wartości. Politycznie unika potępienia włoskiego faszyzmu, intensywnie współpracowała z Silvio Berlusconiem, pełniąc nawet funkcję ministerialną w jego rządzie. Ogółem, jej pozycja polityczna powinna ją sytuować poza mainstreamem, przynajmniej polskim. Włoski już tak się przesunął w prawo, że to neofaszyści są niemal w centrum.

Po tak przydługim, jak się okazuje, wstępie mogę przejść do meritum. Czyli do politycznej roli polskiej pierwszej damy. Rolę tę odgrywało już więcej niż parę bardzo różnych kobiet. Trudno powiedzieć, czy miały jakikolwiek polityczny wpływ na swoich małżonków, nawet jeśli ci czasem o tym wspominali. Na pewno trudno jest mówić o roli politycznej Agaty Dudy, bo nawet rola polityczna jej męża nie była nigdy specjalnie duża. Innym pierwszym damom powierzano często zadanie ocieplania wizerunku prezydenta. Tak samo należy ocenić wywiad Marty Nawrockiej w TVN24. Niezależnie od ostatecznego efektu miał on służyć umacnianiu roli prezydenta. Trudno ocenić samodzielność roli i poglądów aktualnej pierwszej damy. Jeśli uznamy, że Nawrocka aspiruje do roli politycznej, to można i należy traktować ją jak każdego innego polityka, czyli można i należy polemizować z wyrażanymi przez nią poglądami – tyle że na potwierdzenie tej tezy mamy bardzo mało argumentów, podobnie jak na samodzielność wcześniejszych decyzji Nawrockiej i jej poglądów. Powtarzanie opinii nie jest tożsame z ich interna-

lizacją, a nawet po zinternalizowaniu opinie takie nie stają się wynikiem naszych przemyśleń, są raczej efektem procesu socjalizacji. Nawrocka jest taką samą ofiarą procesów społecznych i socjalizacji konserwatywnej jak wiele Polek i Polaków. Winni są gdzie indziej. Można i należy zajmować się winnymi, czyli politykami, szczególnie tymi, którzy czerpią realne korzyści z propagowania konserwatywnej ideologii. Książętami kościoła, bo nie ma dwóch kościołów w Polsce, jest jeden, który różnym środowiskom pokazuje różne twarze, a nigdy tej prawdziwej.

Dla równowagi – i jeszcze raz przepraszam, jeśli się narażam – chciałbym docenić przedostatnią premier kobietę, Ewę Kopacz. Została wrzucona na głęboką wodę przez Donalda Tuska, który, nie ma co ukrywać, uciekł do Europy. Jak podaje CBOS, w sierpniu 2014 roku rząd Donalda Tuska miał w badaniu sondażowym 23% zwolenników i aż 44% przeciwników. Notowania Zjednoczonej Prawicy po raz pierwszy od wyborów w 2011 roku były wyższe (32%) od notowań Platformy Obywatelskiej (26%). Ewa Kopacz nie poprawiła wyników PO aż do wyborów, ale wyborczą katastrofę zapoczątkował Donald Tusk, a dokończyła ją kampania wyborcza Bronisława Komorowskiego w roku 2015. Klęską wyborczą koalicji wyborczej pod wodzą Leszka Millera, Janusza Palikota i Barbary Nowackiej to już naprawdę drobiazgi.

Przepraszam też, że pamiętam. Pamięć polityczna to źródło stresów. Wygodniej jest oczywiście nie pamiętać i popełniać stare błędy polityczne z pełnym przekonaniem, że robi się to pierwszy raz. Burza w politycznej literatce – nie wiem czy była w niej woda czy coś innego – jest burzą kompletnie nieistotną. To kłótnia nie o feminizm, nie o politykę, nie o poglądy, tylko o dobre samopoczucie i niepamięć. Niepamięć jest najlepszą drogą do dobrego samopoczucia.

SZACHY

No i zwicnęłam nogę. Na oblodzonym chodniku. Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło. Był stres, dyskomfort, osvajanie ortezy. Moje wnuki opiekowały się mną, może nawet za bardzo. Wnuczka „ogarniała” sprawy kuchenne. Radziła sobie dobrze. Wnuk załatwiał zaopatrzenie i sprzątanie. Byłam zadowolona, przyznam się nawet do cynicznej myśli, że oni obydwójce tak się mną „forsownie” opiekują, bo chcą, żebym jak najszybciej wyzdrowiała i bez przeszkód przygotowywała im różne przysmaki, które wraz z grupą przyjaciół pożerali w ilościach hurtowych.

Oczywiście, zganiłam siebie samą za tak niegodne myśli. Zaczęłam odczuwać przykre stany zawieszenia, samotności. Czułam się jak stara lokomotywa odstawiona na boczny tor. Tłumaczyłam sobie, że to stan przejściowy, że to mi minie. No, pewnie. Niemniej jednak nie było mi ani dobrze, ani pogodnie. Cały dom żył przecież swoim codziennym rytmem. Wszyscy do pracy albo na uczelnię. Domowe zwierzęta zaszywały się w swoich ulubionych zakamarkach, by doczekać do obiadu, spaceru lub codziennej porcji drapania za uchem.

Wiało pustką i samotnością, jak nigdy w naszym domu. Oczywiście nie brakowało mi serdeczności i troski, tylko jakoś nikt nie pamiętał o drapaniu za uchem. No cóż...

Któregoś dnia mój wnuk zapytał, czy w niedzielę nie wybralibyśmy się na przejażdżkę, bo wiosna tuż-tuż. Chętnie się zgodziłam. Powiedziałam też, że trudno tak siedzieć w domu i czekać, aż rodzina wróci ze swych codziennych zajęć.

Wnuk przytaknął, ale odparł:

- Babciu, ale przecież my wszyscy jesteśmy. Nie zapominamy o tobie. Pies i kot też tu są.

- Ale są strasznie małowólni – próbowałam zażartować. Nie chciałam uchodzić

za narzekającą histeryczkę, która za dwa tygodnie zakończy romans z ortezą, ale jednak...

Wnuczka przydzwigała pudełko pączków z pobliskiej cukierni i zaznaczyła, że owszem, dobre, ale nie takie jak ja robię.

Przyrzekłam, że natychmiast, jak to będzie możliwe, nasmażę pączków; bardzo, bardzo dużo.

- Ale babciu, chyba nie zapomniałaś jak się robi pączki? – upewnił się wnuk.

- Jasne, że nie, a poza tym pączków nie robi się nogą!

Pogadaliśmy jeszcze chwilę o rzeczach mniej ważnych. W pewnym momencie wnuk opowiedział o jakimś panu Zygmuncie, sąsiedzie z niedalekiego domu. Okazało się, że ma trudności z chodzeniem. Przy swoich prawie dziewięćdziesięciu latach zachowuje wielką lotność umysłu, ale jest sam. Nie w sensie opieki, bo ma rodzinę. Dbającą. Ale wszyscy są bardzo zajęci, więc wynajęli opiekunkę dla seniora. Dziewczyna miła i kompetentna, ale pracująca u wielu jeszcze podopiecznych. Szybko wykonuje swe obowiązki i już jej nie ma. Cóż, takie życie. Pan Zygmunt więc skazany jest na samotność w towarzystwie książek i komputera.

Wnuk oznajmił, że wraz z kilkoma osobami podjął się co jakiś czas wpadać do sąsiada, pogadać. Oczywiście, za aprobatą rodziny seniora. Żeby nie był sam.

- No i co? – zainteresowałam się.

- No i dzisiaj jest mój dyżur. Będziemy grali w szachy. Pan Zygmunt jest podobno niezłym zawodnikiem. To miły gość, ale pomimo opieki strasznie samotny.

- To tak jak ja! – prawie poczułam satysfakcję.

- No wiesz babciu! Zabrzmiał dwugłós oburzonych wnuków.

- No dobrze, dobrze, żartowałam.

Wnuk zbierał się do wyjścia.

- Wiesz co, tylko żebyś się nie starał specjalnie przegrać, byle tylko zrobić przyjemność panu Zygmuntowi – serdecznie doradziłam.

- Eee, babciu, przecież, gra się po to, żeby wygrać!

Po trzech godzinach wrócił. Zapytałam, jak mu poszło. Uśmiechnął się szeroko.

- Babciu, uczciwie przegrałem – oświadczył z dumą.

Zbliża się dzień zdjęcia ortezy.

BABCIA

WOJENKO, WOJENKO, CÓŻEŚ TY ZA PANI...

że się tobą tuczą, że się tobą tuczą politycy cwani...

- chciałoby się przekornie dokończyć znaną frazę. Tylko, że w piosence byli chłopcy malowani, a tu...

Sienkiewicz w swej Trylogii ustami Akbach-Ułana wyraził pogląd, że oto wojna po to jest, by „mężowie zbrojni łup brać mogli”. A więc biznes, biznes i jeszcze raz biznes. A to, że giną ludzie – nie szkodzi. A to, że rosną zastępy dzieci – sierot wojennych – jakoś ujdzie, temat można „zagadać”.

Tak więc wypada nam uczyć się wojny. Uczyć jak przetrwać, jak nie zwariować, a przede wszystkim: jak się przyzwycząić. Na nic cały wspaniały DEKALOG, na nic jedenaste przykazanie Mariana Turskiego, na nic poetyckie i prozatorskie akty strze-liste. Jak to zwykle bywa, na wojnie giną nie ci, którzy ją wywołali. Ci, którzy ją wywołali już nawet nie wiedzą, ile mają pieniędzy. Widzimy więc prominentów prawej strony sceny politycznej, którzy z faryzej-skim zatroskaniem łkają nad niedolą maluczkich wrzuconych w maszynkę do mięsa, dla niepoznaki nazwaną „operacją wojskową”. Co ciekawe, tak właśnie objawiają swoją wrażliwość wielcy, opowiadający się za wartościami religijnymi, za obroną życia, za Polską. I tak to się kręci. Jedni udają zatroskanych, inni udają, że w to wierzą, a jeszcze inni udają, że im wszystko jedno.

Bardzo rzadko można usłyszeć, że w dzisiejszej rzeczywistości nie sposób

uniknąć wojny. Gdzie jest miejsce, do którego nie doleci rakieta, czy byle prymitywny dron? Gdzie jest taki zakątek świata, w którym nie będzie słyhać łomotu podkutych butów?

Onegdaj na ławce przed moim blokiem zasiedli dwaj moi sąsiedzi. Jeden i drugi sympatyczny, wykształcony, obaj nadgryzieni zębem czasu. Dotąd wymienialiśmy grzeczności podczas spotkań na spacerku z pieskami, czy podczas powrotów z zakupów z „Biedronki”. I oto usłyszałem wymianę zdań pomiędzy moimi zacnymi sąsiadami. Słuchałem. A dlaczego? Bo obaj seniorzy zachowywali się tak, jakby byli wielkimi wodzami lub uciekli z wariatkowa. Co mówili? Mówili, a raczej przekrzykiwali się, że ta wojna powinna raz na zawsze zrobić porządek, wyeliminować, dać nauczkę, pozbawić prawa do życia. Kogo? Obaj panowie wskazywali na tych, którzy cieszyli się ich ogólną sympatią. Ulubieńcy pana X byli obiektem mrocznych i nienawistnych życzeń pana Y. I na odwrót. Staruszkowie opowiadali straszliwe głupoty, utyłane w patriotyczno-religijnym sosie. Obaj byli święcie przekonani o swej racji. Nawet nie miałem siły oponować, czy choćby się zdziwić.

WOJENKO, WOJENKO, CÓŻEŚ TY ZA PANI...

Marchońt

Gazeta.pl komentarze do „coś poza”

Latawcedmuchawcewiatr - @hubert454

Jest takie opowiadanie o bliźniakach.

„W brzuchu ciężarnej kobiety były bliźniaki. Pierwszy zapytał drugiego:

- Wierzysz w życie po porodzie?

- Jasne. Coś musi tam być! Mnie się wydaje, że my właśnie po to tu jesteśmy, żeby się przygotować na to co będzie potem.

- Głupoty. Żadnego życia po porodzie nie ma. Jak by to miało wyglądać?

- No nie wiem, ale będzie więcej światła. Może będziemy biegać, a jeść buzią...

- No to przecież nie ma sensu! Biegać się nie da! A kto widział żeby jeść ustami! Przecież żywi nas pępowina.

- No ja nie wiem, ale zobaczymy mamę, i ta się będzie o nas starać.

- Mama? Ty wierzysz w mamę? Kto to według ciebie w ogóle jest?

- No przecież jest wszędzie wokół nas... Dzięki niej żyjemy. Bez niej by nas nie było.

- Nie wierzę! Żadnej mamy nie widziałem czyli jej nie ma...

- No jak to? Przecież jak jesteśmy ci cho, możesz posłuchać jak śpiewa, albo poczuć jak głaszcze nasz świat. Wiesz, ja myślę, że prawdziwe życie zaczyna się dopiero później...”

- Myślisz, że istnieje tylko to, co widzimy? Zatem, kiedy 500 lat temu nikt nie widział bakterii, to one nie istniały? Albo 22 lat temu nikt nie widział grafenu, alotropowej postaci węgla, to go nie było?

Jesteś pewien, że wszystko wiesz o świecie, w którym żyjesz.

mazen17 - @latawcedmuchawcewiatr

Super. A teraz powiedz mi, który z tysięcy bogów, z których możemy wybierać, jest tym prawdziwym?

latawcedmuchawcewiatr

Przydałoby się podsumowanie lewackich dyktatur XX wieku, które walczyły z religiami. Ateistyczne zacierzenie doprowadziło do takiej skali ofiar, że wszelkie podsumowania wojen religijnych, inkwizycji czy krucjat to jedynie mała kropelka. Świetnie pokazał to Philip Short w książce „Pol Pot. Pola śmierci”, jak zabijano mnichów buddyjskich młotem, bo szkoda było ateistycznej partyzantce, Czerwonym Khmerom, kuli.

Ofiary walczącego ateizmu:

1. Mao Dzetong - 70 mln.
2. Stalin - 20 mln
3. Pol Pot - 3 mln

Trudno się jednak takich dokumentacji spodziewać po Netflixie a tym bardziej nie napisze o tym Gazeta.pl

Antykonformista - @latawcedmuchawcewiatr

Do władzy wykorzystuje się zarówno religię, jak i ateizm. Ateizm komunistyczny nie był prawdziwym ateizmem, tylko kultem wodza, gdzie wódz miał zastąpić Boga.

Niestety ale człowiek nie jest stworzony tak, by nie mieć refleksji wyższych, magiczno-religijnych.

Dziś się próbuje to robić, oczywiście po to by Boga znów zastąpić czymś innym: pieniądzem, celebrytą, praco- i za-

kupoholizmem, które mają wypełnić pustkę.

Sporo ateistów to tak naprawdę wierzący i praktykujący teiści, mający swoich kapłanów i swoją wiarę (wierzę w to że nie ma Boga, po śmierci nic nie ma itp.) ,tak samo odporni na argumenty i z klapkami na oczach, jak kościółkowe oszołomy.

No i przede wszystkim, nowe religie: kult zwierząt (w tym furry), płaskoziemcy.... to też są religie!

zorro22 - @latawcedmuchawcewiatr

Dokładnie tak, następna antychrześcijańska propaganda lewackich pismaków nie mających samemu pojęcia, dlaczego te wypociny znalazły się na stronie głównej.

jan.go - @latawcedmuchawcewiatr

Trochę przesadziłeś. Ofiar tyle nie było i w przypadku Chin, a nawet Stalina, nie były to tylko ofiary mordu tylko wojen domowych, klęsk żywiołowych i upadku kraju w wyniku tych wojen. Do chińskich ofiar dodano ofiary antykomunistycznego Czang Kaj-Szeka, który był jeszcze okrutniejszy niż komuniści, a do stalinowskich ofiary białych. Pol Pot jest niezły, bo poparły go Chiny i USA. Ten kraj akurat chrześcijański. Tak czy owak dużo. Oddaję ci sprawiedliwość, zamordowaliście mniej. Tak jak katolicycy maronici wraz z Żydami, którzy wyróżnili w latach 80 3 tys kobiet dzieci i starców. Palestyńczyków

bak_on - @zorro22

Czy coś prawiczku mówi Ci postać arcykatolickiego pedofila Leopolda 2 i jego prywatnej posiadłości Kongo?

Czy może to wymysł lewacki?

populo_noli_credere - @gruppenfirer_wolf

Czyli twoim zdaniem oni mordowali w imię ateizmu, jak np. katolicy w imię swojego boga i swojej religii, tak? A podasz na to jakieś dowody? Jakiegokolwiek, nawet najgłupsze. Żadna wojna, żadne ludobójstwo nie brały się z ateizmu. Żadne. Mao Dzetong, Stalin czy Pol Pot nie byli też żadnymi „lewakami”. Ani jedna ich ofiara nie została zabita z powodu lewicowych poglądów czy w imię ateizmu.

Czy można to samo powiedzieć o religiach? O wyznawcach religijnych? Od zarania wierzeń w bożki, od powstania religii oderwanych od animizmu do dziś morduje się w imię religii, w imię ponad 50 wyznawanych dzisiaj bogów.

Uthark - @latawcedmuchawcewiatr

„podsumowanie lewackich dyktatur”]

Dyktatura Stalina nie była lewacka, bo niby dlaczego? Dla Lenina i Stalina lewakiem był Trocki – zresztą Lenin użył wyrazu „lewacy” właśnie wobec trockistów.

Uthark - @gruppenfirer_wolf

Ustroje totalitarne mają wodzów pełniących rolę bogów – Hitler, Stalin, Mao, Kim (kolejni Kimowie w Korei), Mussolini, Franco, Pinochet. Nawet mieli swoje „boskie” określenia, np. Führer, Duce, Caudillo, związane z atmosferą nieomyślności.

Uthark - @zorro22

Chrześcijaństwo jest w swojej naturze internacjonalistyczne, równościowe, antybogackie, przełamujące liczne tabu – de facto lewicowe, a może nawet wręcz lewackie.

jan.go - @populo_noli_credere

Tak naprawdę to oni mordowali i mordują dla władzy i pieniędzy, a sprawa wiary czy niewiary jest wtórna. To tylko pretekst. Lepiej pokazać ludziom jakąś fajną ideę. Jakoś ich zanęcić. Lewacy to byli za Stalina pierwsi których zwalczali. Także w Hiszpanii.

uthark - @latawcedmuchawcewiatr

Mordowanie innych ludzi, którzy z różnych powodów komuś nie odpowiadają, znane jest od zarania dziejów. To nie jest wymysł ateistycznych dyktatur. Teiści też mordowali – np. Montségur, Béziers, noc św. Bartłomieja.

populo_noli_credere @latawcedmuchawcewiatr

Największego ludobójstwa w historii nie dokonał Hitler, ani Stalin, ani Mao Zedong, ani Pol Pot i jego Czerwoni Khmerzy. Tak przynajmniej uważa katolicki duchowny, ksiądz Jan Kracik, autor tekstu „Nawracanie w cieniu konkwisty”, zamieszczonego w katolickim portalu „Opoka”. Zdaniem księdza Kracika, największe ludobójstwo miało miejsce w procesie chrystianizacji Ameryki Południowej. Link jest niestety usuwany przez automatyczną cenzurę. Należy wpisać w wyszukiwarkę internetową: Nawracanie w cieniu konkwisty - Jan Kracik - Portal OPOKA. Oto fragment tekstu:

„Iberyjscy przybysze – głównie przedstawiciele zbiedniałej szlachty, najemni żołnierze, złoczyńcy – żądali od Indian złota, płacąc za to świecidełkami. Wykorzystali walki plemion indiańskich, by nad nimi zapanować. Burzyli świątynie, by wykazać niemoc ich bogów. Mieszkańców zmuszano do ciężkich prac w kopalniach i na plantacjach. Złe traktowanie, morderczy rytm pracy, wysokie podatki,

niedożywienie, choroby stanowiły o wiele bardziej masowe narzędzie eksterminacji niż zabijanie wprost (napadanie Indian, krwawe tłumienie ich buntów).

W sumie w ciągu stu lat od konkwisty populacja tubylców w Meksyku zmniejszyła się z około 25 do 1 mln. W obu Amerykach z około 80 milionów pozostało po pół wieku 10 milionów. To było największe w dziejach ludobójstwo, dokonane głównie przez Hiszpanów, Portugalczyków i Anglików.

Łączenie podboju z chrystianizacją dobrze było znane Europejczykom. Walka z niewiernymi była przy tym wręcz organiczną specjalnością Hiszpanów, którzy po siedmiu stuleciach wojen, pod koniec XV wieku wyparli wreszcie (ciągle w aurze krucjat) Maurów z Półwyspu Iberyjskiego.»

Przypomnieć należy także, że w czasach katolickich zbrodni, popełnianych w imię Chrystusa w Ameryce Południowej (i protestanckich w Ameryce Północnej) ludność świata wynosiła około 500 mln, natomiast w połowie XX wieku, gdy szalały reżimy totalitarne, na świecie żyło kilka razy więcej ludzi: 2,5-3 miliardy. Warto też pamiętać o nieporównywalnych środkach technicznych, jakie wykorzystywano do zabijania ludzi w XVI i XX wieku. Mimo znacznie mniejszych możliwości, jakie mieli katolicy (i protestanci) zbrodniarze, ich śmiertelne żniwo było gigantyczne.

W 1492 r. Kolumb odkrył Amerykę. Inkwizycja szybko postępuje śladami odkrywców. Tubylców, którzy nie chcieli nawrócić się na wiarę chrześcijańską mordowano. Gdy była taka sposobność, przed zabiciem oporni Indianie byli przymusowo chrzczeni. W tym czasie papież

Aleksander VI (Borgia) urządza publiczne orgie z własną córką Lukrecją i synem Cezarem. W 1493 r.

Bulla papieska uprawomocniła deklarację wojny przeciwko wszystkim narodom w Ameryce Południowej, które odmówiły przyjęcia chrześcijaństwa. W praktyce kobiety i mężczyźni szczerzo psami karmionymi ludzkim mięsem i ćwiartowanymi żywcem indiańskimi niemowlętami. Wbijano ciężarne kobiety na pale, przywiązywano ofiary do łuf armatnich i rozrywano wystrzałem. Mordowano, gwałcono, okaleczano i rabowano.

Podczas pobytu w tamtych stronach, papież Jan Paweł II nazwał tę zbrodnię przeciwko ludzkości „dziełem ewangelizacji i pokoju”, a w 1980 r. beatyfikował jezuitę José de Anchieta, który twierdził: „Miecz i żelazny pręt to najlepsi kaznodzieje”. /w Wiki nazwany „obrońcą Indian” – red./Podczas beatyfikacji tego masowego mordercy Indian, papież Jan Paweł II nazwał go apostołem Brazylii, wzorem dla całej generacji misjonarzy i siebie samego.

Nie pierwszy to przypadek wyniesienia zbrodniarza na ołtarze. W 1493 r. papież Aleksander VI zaraża się syfilisem. W 1501 r. syn papieża Aleksandra VI (Borgia) wydaje w pałacu apostołskim „Bankiet Kasztanów”, znany także jako „Balet Kasztanów”, na którym, pięćdziesiąt nagich prostytutek i kurtyzan, na czworaka, zbiera porozrzucane pomiędzy kościelnymi kandelabrami kasztany. Impreza kończy się zbiorową orgią i seksualnymi zawodami gości i dworzan. Dla najlepszych ogierów przewidziane były nagrody. W tym czasie morduje się kolejnie tysiące ludzi w imię wiary.

populo_noli_credere - @ latawcedmuchawcewiatr

Pierwszym ludobójstwem w dziejach ludzkości był biblijny potop. Ponieważ Bóg stworzył człowieka na wzór i podobieństwo swoje, to mamy wyjaśnienie, dlaczego urodzili się tacy jak np. Hitler lub Stalin.

Szacunkowe liczby ofiar uśredniam, biorąc za podstawę kilka źródeł. Pominiam tysiące ofiar chrześcijan przed 1000 rokiem, a których wymordowali zaraz po tym, jak z prześladowanych stali się prześladowcami, a ich ofiarami stali się poganie oraz Żydzi, których zamykano w pierwszych w historii gettach i kazano nosić oznaczenia, czym później zainspirowano skutecznie pewnego malarza z republiki weimarskiej. Mordowali też innych chrześcijan.

Wystarczy poczytać, co wyczyniali pierwsi biskupi i pierwsi papieże: Atanazy, Teofil, Cyryl, Jan XII, Benedykt IX, Innocenty III, Grzegorz IX, Sykstus IV, Aleksander VI, Paweł III czy Paweł IV (od Sykstusa to już czasy po 1000 roku, ale ciągłość poczynań jest zachowana). To popatrzmy, jak to wyglądało w skrócie: 1096 – pierwsza wyprawa krzyżowa. Wymordowanie Żydów nad Renem i Dunajem – ponad 20 tys. ofiar; 1099 – krzyżowcy zdobywają Jerozolimę – 50 tys. ofiar; 1202-1204 – czwarta krucjata na rozkaz papieża Innocentego III – 100 tys. ofiar; 1207 – armia Innocentego III wycina w pień katarów (30 lat) – 100 tys. ofiar; 1226 – (pocz.) – Krzyżacy mordują Prusów – 300 tys. ofiar; 1453 – z inicjatywy świętego Jana Kapistrana wymordowano Żydów na Śląsku – 30 tys. ofiar; 1450-1750 – polowanie na „czarownice” na podst. bulli Innocentego VIII – 150 tys. ofiar; 1478 (pocz.)

– papież Sykstus IV wysłał do Hiszpanii inkwizytora Torquemadę – 250 tys. ofiar; XV-XVII w. – katolicy wyniszczają ludność Wysp Karaibskich – 3,5 miliona ofiar; XVI-XVIII w. – misjonarze i żołnierze mordują Indian Amazonii – 5,5 miliona ofiar (w Ameryce Południowej w wyniku jej tzw. chrystianizacji ginie łącznie około 70 mln rdzennej ludności – to pierwszy w historii ludzkości holokaust); XVI-XVIII w. – porwania niewolników w Afryce – 100 milionów ofiar; 1555-1559 – inkwizycja za czasów papieża Pawła IV – 800 tys. ofiar; 1568 (pocz.) – na rozkaz papieża Piusa V (późniejszy święty) inkwizycja hiszpańska zaczyna mordować protestanckich Niderlandczyków – 2 miliony ofiar; 1573 – noc św. Bartłomieja (23/24.08), czyli rzeź hugenotów; Papież Grzegorz XIII odprawia mszę dziękczynną, wybija medal pamiątkowy i organizuje radosne festyny na ulicach – 25 tys. ofiar; 1620 – rok kłęski Czechów przy Białej Górze; wojna religijna niemal unicestwia ten naród, gdyż ginie 3/4 obywateli Czech; 1648 – koniec wojen religijnych w Niemczech podsycanych przez papieżstwo (Innocenty X protestuje przeciwko ugodzie z protestantami) – 13 milionów ofiar; 1648 (pocz.) – pogromy Żydów w Polsce – 100 tys. ofiar; 1941-1945 – w Chorwacji rządzi Ante Pavelić popierany przez Piusa XII – 800 tys. ofiar (np. obóz w Jasenovacu, gdzie komendantami i strażnikami byli katolicy duchowni własnoręcznie mordujący tysiące więźniów). Rwanda, rok 1994. Rozpoczęły się masowe zbrodnie. Trwały sto dni i przeszły do historii jako jedno z największych ludobójstw w nowożytnych dziejach świata. Zbrodnie po-

chłonęły milion ofiar. Katolicki duchowny pozwolił ludziom schronić się w przykościelnej wieży, po czym zamknął ich na klucz i wezwał morderców ze szychaczami. „Sprzątnijcie te śmieci” – krzyczał – i pozwolił na to, by zburzono wieżę, w której uwięził swoich parafian. Znane są i udokumentowane przypadki księży katolickich, którzy dopuszczali się bestialskich gwałtów i z maczetami w rękach mordowali dzieci, kobiety i mężczyzn Tutsi, pomagając w ten sposób Hutu, twierdząc, że Bóg tak chce.

Egzorcyci w Polsce

- Szacuje się, że w Polsce jest ok. 120 aktywnych egzorcystów;
- Jak mówił w TOK FM Szymon Piegza, „niektórzy księża egzorcyci twierdzą, że są w stanie egzorcyzmować od 100 do nawet 1 tys. osób miesięcznie”;
- Jak wyglądają sale, gdzie przeprowadza się egzorcyzmy? Co dzieje się z osobą egzorcyzmowaną? O tym opowiadał autor książki pt. „Mieli nas za opętanych. Historie nadużyć egzorcystów”.

Polska jest drugim po Włoszech krajem w Europie pod względem liczby egzorcystów. Jest ich ok. 120. Co do zasady, każda diecezja w kraju ma co najmniej jednego mianowanego egzorcystę. Przy czym oprócz nich są także kapłani i diakoni modlący się modlitwą o uwolnienie.

- Być może nawet teraz ktoś gdzieś egzorcyzmuje, to wysoce prawdopodobne. Tym bardziej, że niektórzy księża egzorcyci twierdzą, że są w stanie egzorcyzmować od 100 do nawet 1 tys. osób miesięcznie. To gigantyczne liczby - skomentował w TOK FM Szymon Piegza, autor książki pt. „Mieli nas za opętanych. Historie nadużyć egzorcystów”.

Podkreślił przy tym, że sam Kościół nie ma jednak danych na ten temat. - To w ogóle patologia. Tym bardziej, że Kościół na dobrą sprawę nie ma też żadnych danych, którymi może się pochwalić, że egzorcyzmy w ogóle działają. Może się więc okazać, że w większość przypadków tak nie jest. I co? De facto Kościoła to nie obchodzi, bo on dalej uważa, że trzeba egzorcyzmować - odpowiedział.

„Sale jak z horrorów”

W ocenie gościa „Półki z książkami” wiele do życzenia pozostawia też kilka innych kwestii.

Jak wskazał, nierzadko sale, w których przeprowadzane są egzorcyzmy (nigdy w nich nie był, ale rozmawiał z tymi, którzy tam byli), „wyglądają jak z filmów”. - Są przerażające, z rekwizytami jak z horrorów np. drewnianymi łóżkami czy łóżkami, do których są przyczepione skórzane pasy lub sznury - wyliczył.

Dodał, że same „egzorcyzmy też przypominają czasami horror”. - Są sadyistyczne, drastyczne. To się dzieje. To nie jest tak, że to średniowiecze i to się skończyło - podkreślił. Jako przykład wskazał np. kneblowanie ust stułą.

„W kałużach moczu i z siniakami”

Inna rzecz, mówił też Piegza, że o ile w większości przypadków egzorcyzmy są dobrowolne, o tyle jednak z reguły nikt nie mówi, jaka dokładnie jest procedura i co się będzie działo z osobą egzorcyzmowaną. A w grę wchodzi np. utrata kontroli nad własnym ciałem oraz utrata poczucia czasu i miejsca.

- Znam historię, kiedy egzorcyzmy były odprawiane przez całą noc, czy-

li osiem godzin, na dwóch kobietach. Ksiądz podczas egzorcyzmów nie pozwolił im wyjść do toalety, więc jak dochodziły do siebie po dysocjacji /wyłączeniu percepcji rzeczywistości – red./, to leżały na zimnej, kamiennej posadzce w kałużach moczu, na kolanach miały siniaki i rany, a na udach krew. Nie miały przy tym pojęcia, co się stało. Kiedy dopytywały księdza, dlaczego tutaj leżą i wszystko je boli, ten odpowiadał: „Bo tak wielką walkę toczyliśmy z szatanem” - opowiadał. Oceniał przy tym, że „bardzo często egzorcyzmy nie są realizowane w sposób cywilizowany”.

Dopytywany, czy ktoś próbował ukrócić podobne działania egzorcyzistów, odpowiedział, że połowa bohaterów jego książki złożyła zawiadomienie do kurii (kilku egzorcyzistów straciło dekryty), a część zgłosiła sprawę do prokuratury (ta nie postawiła nikomu zarzutów, bo najczęściej doszło do przedawnienia).

- To jest ten sam mechanizm, który działa w przypadku osób skrzywdzonych seksualnie np. w dzieciństwie. Bardzo często potrzeba nawet ok. 10 lat, by te osoby wróciły do traumy - tłumaczył rozmówca Anny Sobańdy.

Przyznał też, że jedna bohaterka książki ma stwierdzone PTSD, czyli zespół stresu pourazowego „wyłącznie po egzorcyzmach”, inne z kolei są m.in. na farmakoterapii i terapii.

- To się w ogóle nigdy nie powinno wydarzyć. A tym bardziej nie powinno się wydarzyć w łonie Kościoła katolickiego. Ci ludzie, czyli egzorcyści, działają z mandatu Kościoła i są bezkarni - podkreślił.

„Drobna kobieta mówi grubym, męskim głosem”

Kto w ogóle decyduje o tym, że dana osoba jest opętana i powinna zostać poddana egzorcyzmom? Jak tłumaczył gość TOK FM to sam egzorcysta, co wynika z rytuału rzymskiego, czyli „starej instrukcji watykańskiej” oraz konkretnych wytycznych wydanych przed polski Episkopat 10 lat temu.

I choć, jak dodał, są w wytycznych wskazówki, jak ocenić czy ktoś jest opętany czy np. chory psychicznie, to rodzi to kolejny problem. Głównie dlatego, że zapisy są „niejasne”. Jak choćby wtedy, kiedy mowa jest np. o tym, że osoba opętana posługuje się biegle językiem, którego nie ma prawa znać. - Faktycznie czasami podczas egzorcyzmów ktoś zachowuje się bardzo dziwnie. Drobna kobieta potrafi mówić grubym, męskim głosem i wykrzykiwać bardzo różne rzeczy w dziwnych językach - wskazał dla przykładu.

Przyznał, że rozmawiał na ten temat z psychologami klinicznymi. I tak np. dr Jacek Dębiec, który napisał dysertację doktorską ze stanu trans opętania i od 20 lat pracuje w USA, dowodzi, że takie osoby „wypowiadają bardziej wyrazy dźwiękonaśladowcze, które nie są żadnym językiem”

„Psychologia w Kościele nie istnieje”

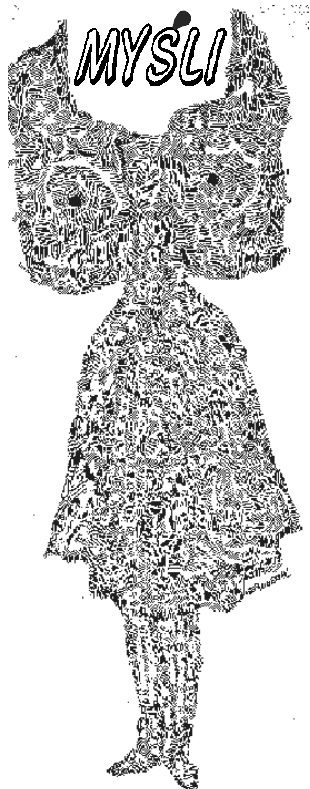
Gość TOK FM pytany był też o plucie gwoździami czy szkłem przez osoby opętane, co ma być typowym zachowaniem podczas egzorcyzmów. Jak mówił Szymon Piegza, „cała to konstrukcja myślowa wzięta się od Gabriele’a Amortha, czyli legendarnego egzorcysty Watykanu, który posługiwał jako egzorcysta przez 40 lat”.

- I tu kolejna ciekawostka: ustanowiony został egzorcystą Watykanu przez nikogo innego jak papieża Jana Pawła II, który sam był olbrzymim orędownikiem egzorcystów i egzorcyzmów - przypomniał. Dodał, że Amorth był pierwszym egzorcystą Watykanu i autorem wielu książek o egzorcyzmach, w których opisywał (np. „Ja jestem piekłem”) niestandardowe zachowania podczas opętań.

- Gabriel Amorth w ogóle nosił przy sobie zawiniątka, które podobno pokazywał niedowiarkom, że oto są to gwoździe i szkło wymiotowanych. Nikt tego nie zbadał - dopowiedział.

Jak to jest możliwe, że egzorcysty twierdzą, że widzą takie rzeczy? Z wieloletnich badań dr Jacka Dębca, mówił Piegza, wynika, że egzorcysta w stan transu wprowadza też sam siebie. - Co najbardziej ciekawe i przerażające jednocześnie, on o tym nie wie, bo polscy egzorcysty, prawie żaden z nich, nie mają żadnego wykształcenia i doświadczenia psychologicznego czy psychiatrycznego. To są ludzie, którzy nie mają bladego pojęcia o podstawach psychologii. Tymczasem w transie opętania może nam się wydawać, że widzimy rzeczy, które nie istnieją, nauka o tym już nie zastrzegł.

Przyznał też w tym kontekście, że trafił na wypowiedzi różnych księży egzorcystów, którzy mówili wprost: „Nie mam pojęcia, dlaczego zostałem egzorcystą, dlaczego biskup wybrał akurat mnie. Nie znam się na tym, nie interesuję się tym”. - Na tym polega patologia tego systemu. Biorą ludzi, którzy nie są w ogóle przygotowani. Przecież nie ma czegoś takiego, jak studia dla egzorcystów, seminarium dla egzorcystów czy np. kursy dla egzorcystów - podsumował w TOK FM.



■ Uśmiech to bodaj najkrótsza droga do drugiego człowieka.

Henry Saka

■ Człowiek, który mówi, że wszystko wie, na pewno nie wie jednego – co mówi.

Andrzej Majewski

■ Człowiek bardzo szybko przyzwyczajają się do dobroci innych i dlatego rzadko kiedy odpłaca im tym samym.

Gilbert Cesbron

■ Człowiek, który zawsze chce być dowcipny, najczęściej bywa śmieszny.

Andrzej Majewski

■ Wielcy ludzie są dumni, mali zarozumiali.

George Byron

■ Ludzie są okrutni, ale człowiek jest poczciwy.

Rabindranath Tagore

■ Zły człowiek, choćby był królem, jest niewolnikiem tyłu panów, ile ma namiętności.

Św. Augustyn

■ Istnieje wiele zabawnych rzeczy na świecie. Wśród nich wyobrazenie białego człowieka, że jest mniej dziki od innych dzikusów.

Mark Twain

■ Tępy człowiek jest zawsze pewny siebie. A człowiek pewny siebie jest zawsze tępy.

Henry Louis Mencken

■ Niektórych ludzi bardziej od własnego sukcesu cieszy cudza porażka.

Andrzej Majewski

■ Łatwo stać się barbarzyńcą, ale olbrzymiego wysiłku wymaga bycie człowiekiem cywilizowanym.

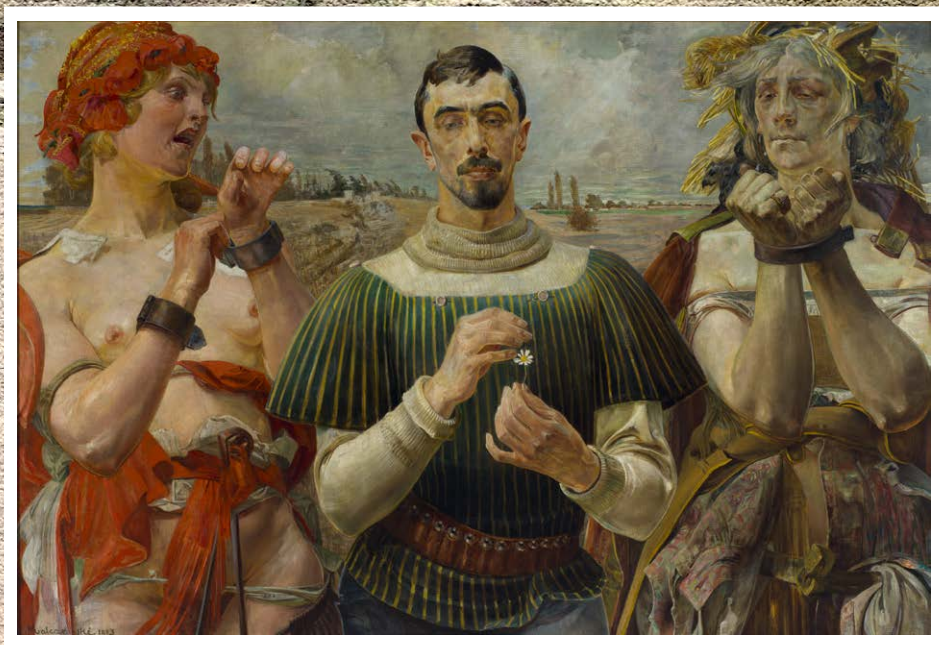
Leonard Woolf



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Kozioł

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: zasoby internetu



Jacek Malczewski
Hamlet Polski (1903)